

TAKI SOBIE
ZNAJOMY



Magazyn

STR. 12

OSTATNIE
PYTANIE



STR. 4

STR. 11

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 36 (926)

4 WRZEŚNIA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Kończą się wakacje, urlopy i w ogóle kończy się letnia kani- kula. Również i letni, „rozrywko- wy charakter „Odgłosów” powo- li ulega zmianie.

Tak więc u progu nowego se- zonu kulturalno-artystycznego proponujemy czytelnikom także poważne publikacje. Wywiad Jer- zego Wawrzaka z laureatem nagrody Ministra Kultury i Sztu- ki — Wiesławem Garbolińskim. Jak wiadomo ten wybitny arty- sta, prezes Zarządu Łódzkiego Oddziału Związku Polskich Ar- tystów Plastyków obejmuje od nowego roku akademickiego ster PWSSP w Łodzi.

Druga publikacja poświęcona sprawom kultury to refleksje Konrada Frejdlicha na temat za- plecza kulturalnego oraz modelu działania w łódzkiej aglomeracji miejskiej.

Niewesołe są natomiast re- fleksje naszych wysłanników na Festiwal Piosenki w Sopocie. Piętnasty już raz, a więc jubileu- szowo, rozległ się sygnał Festi- wału, ale jest to jubileusz raczej żalony. Czy to prawda, że to już zbliża się koniec festiwalu, że impreza się przeżyła i zbła- kła? Przeczytajcie o tym w na- szym bloku festiwalowym na stronie 6.

Kolumna literacka przynosi na- tomiaś bardzo ciekawe opowia- danie Karola Obidniaka oraz interesujące, nowe wiersze Ta- deusza Chróścielewskiego.

Rozpoczął się nowy rok szkolny — proponujemy więc na- szym czytelnikom rozważania Stanisława Borowkina na temat programu nauczania języka pol- skiego. Polecamy tę publikację szczególnie nauczycielom i wy- chowawcom.

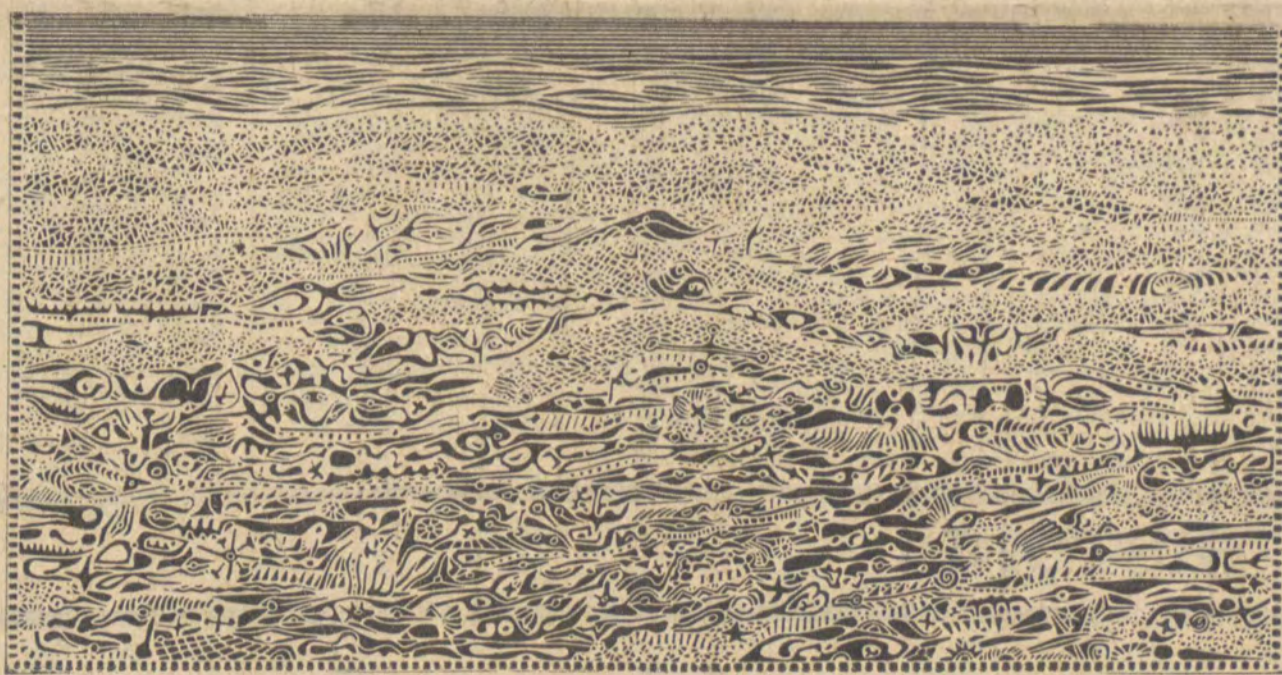
W „Słowniku Pisarzy Łódzkich” prezentujemy sylwetkę Ludwika Świeżawskiego, ponadto znajdu- ją się w „Odgłosach” wszystkie stałe rubryki: felietony, recenzje, program telewizyjny z komen- tarzem, informacje książkowe oraz — ostatnia już — porcja fantasty- ki czyli dokończenie opowida- nia Isaaca Asimova. W „Maga- zynie” natomiast, oprócz rysun- ków i fotografii informujemy czy- telników o nowościach płyto- wych.

BYĆ WIERNYM SOBIE — SŁUŻYĆ SPOŁECZEŃSTWU ROZMOWA Z WIESŁAWEM GARBOLIŃSKIM

STR. 3

POLSKA GMINNA CZY WOJEWÓDZKA?

STR. 7



Plaża III — Henryk Piórkowski

SOPOT — 75

MACIEJ KICIŃSKI

COCTAIL UCZUĆ MIESZANYCH

Kolorowe koła z plastiku i bliżej nieokreślone konstrukcje wiszące nad sopockim deptakiem nie były deko- racją z okazji Festiwalu, lecz wiszą tu już bodaj od lipca. Ale atmosfer- kę to czyni — oczywiście. I ta atmo- sfera króluje nad Sopotem od lat, choć od lat Festiwal niepostęże-

nie dla postronnych obserwatorów — szarżeje i blaknie. Nie wszyscy są w stanie dostrzec to zjawisko. Przekonani natomiast, że na Festiwalu „wypada być” — przyjeżdżają tu bez szczegółowo uzasadnionego celu. Taki bywalec- debiutant załamuje puchne paluszki

nad czynizmem dziennikarzy. A dzien- nikarze są cyniczni, bo wiedzą wy- starczająco dużo o Festiwalu — za- nim się rozpocznie i zanim zakończą się ostatnie koncerty.

Czy to jednak prawda, że Festiwal tegoroczny (i rzecz straszna, jubileu- szowy) — sięgnął dna? Większość te- lewidzów tak twierdzi.

Jest to prawda, ale z zastrzeże- niem. Nie ma bowiem rzeczy tak złej, żeby nie mogło być gorzej. Nie ma takiego dna, żeby od spodu jeszcze coś nie puknęło. To jedna sprawa.

Druga jest poważniejsza. Otóż pię- tnaste lat temu Festiwal Sopocki był po prostu fascynacją. Cudzoziemski- mi nazwiskami, nazwą International Song Festival, oprawą, samym fak- tem, że jest... Dzisiaj fascynację przeminęły — festiwal pozostał. Mo- im zdaniem stał się nudniejszy, ale może się mylić i dlatego w tym roku byłem na nim po raz ostatni.

Być może — po latach słuchania wciąż tych samych przeciętnych wy- konawców, wpadłem w znieczulicę

HISTORIA OBYCZAJÓW XII

ZBIGNIEW
KUCHOWICZ

WALKA O KORONĘ

Postępowanie Barbary i Zygmunta w 1549 roku, cały wachlarz drobnych i ważnych wydarzeń, wystąpień i po- czynań, stał się przyczyną trwania, a nawet pogłębiania się niechęci szla- checkiego społeczeństwa ku królews-kiej parze. Przede wszystkim gniewał opinię fakt, że król, wbrew opinii sejmu, wprowadził żonę na Wawel i nie krył, iż zmierza do jej koronacji. Wielu senatorów wzburzyło pismo, ja- kie monarcha wydał do narodu po se-jmie piotrkowskim. Senatorowie ci od- mawiali królowi wprost posłuszeństwa Szlachta, uważając postanowienie króla za naruszenie swobód i wolności, burzyła się coraz bardziej, prymas Dzierżgowski głosił, że sam zwoła sejm, jeśli król tego nie zrobi. Oliwy do ognia dodawały wieści o postępo- waniu królewskiej pary, o wpływie żony na króla, o łamaniu przez Bar- barę dawnych zwyczajów i rygorów. Powiadano, że zakochany August całe dni przesiadywał u żony, że nudził go sprawy państwowe, że na poważ- nych obradach „bardzo bywa płochy a tęskliwy dla tęskności bez królowej”. Obawiano się, iż ta miłość uczyni go „niebądałym dla Rzeczypospolitej”, że amory z Barbarą spowodują, iż Polska nie będzie miała faktycznego i dbałego o interesy państwa króla.

Dalszy ciąg na str. 5

tak wielką, że impreza wydała mi się nieznosna.

Dlatego rozumiem bywalców-debiu- tantów, których jeszcze fascynują cu- dzoziemskie nazwiska, podnieca atmo- sferka i nie razi włoski gwiazdor średniej klasy.

Doskonale rozumiem, że dla poleps- szenia naszego samopoczucia sprawo- zdawca PAP pisze: „Festiwal Piosen- ki w Sopocie, najstarsza po San Re- mo tego rodzaju impreza na świe- cie”. To brzmi imponująco! Najstar- sza na świecie po San Remo! Tyko, że to nie zmienia faktu, iż ta „naj- starsza impreza” prezentuje jakże czę- sto style piosenkarskie również nie najwziewszej daty.

Grand Prix de Disque otrzymała angielska wytwórnia „Liberty Uni- ted Artists”, którą reprezentował Glenn Weston. Piosenkarz ten zda- żył wydać już 16 płyt, a śpiewał m. in. z orkiestrą... Glenną Millera, czyli z zespołem, który najstarsi lu-

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

ZAGRANICZNE WOJAZE ARTYSTÓW ESTRADOWYCH

Po półtoramyślnym tournée w Związku Radzieckim wrócił do kraju Grupa Anny German oraz z Bratysławy Jazz Band Ball z Jolaną Borusiewicz na czele. Zespół Royal Rag koncertował przez cały sierpień w klubie jazzowym w Zurichu (Szwajcaria), a grupa Progres z solistką Adą Biel rozpoczęła czternieliczne występy w polskiej kawiarni w Chicago.

31 sierpnia odbył się wielki koncert estradowy zatytułowany „Show aus Warschau” w Berlinie zachodnim, transmitowany przez tamtejszą telewizję. Wystąpili m.in. grupa „2 plus 1”, Urszula Sipińska, Danuta Rinn, Halina Frąckowiak i Hanna Jantar.

UTWORY CHOPINA NA ANGLISKICH PEŁTACH

Trzy nowe płyty z nagraniami utworów Fryderyka Chopina ukazały się ostatnio w Wielkiej Brytanii. Wytworzono „EMI ASD”, wydała płytę zawierającą sonaty d-moll i b-moll w wykonaniu Daniela Barenboima, zaś firma CBS te same sonaty w wykonaniu pianisty Murraya Perahia. Wytworzono Philips wydała nowe nagrania preludium Chopina w wykonaniu Claudio Arraua.

DEBUT REŻYSERSKI MONIKI VITTI

Jedną z najbardziej popularnych gwiazd filmowych we Włoszech Monika Vitti debiutuje jako reżyser. W tym miesiącu przystąpi do realizacji jednego z czterech epizodów obyczajowego filmu „Wzrost poczucia przywrotości”, w którego epizody w filmie, którego producentem jest Andrea Rizzioli będą reżyserować: Alberto Sordi, Nino Manfredi i Paolo Villaggio.

WESTERN STULECIA

Znakomici aktorzy amerykańscy Marlon Brando i Jack Nicholson wystąpią jako przeciwnicy w westernie reżyserii Arthura Penna pt. „Przełomy Missouri”. Większość zdjęć będzie robiona w naturalnej scenie. Producent zapewnia, że będzie to „western stulecia”. Autorem scenariusza jest powieściopisarz Tom McGuane. Wstępne obliczenia wskazują, że realizacja filmu będzie kosztowała ok. 8 mln dolarów.

FILMY W STYLU „RETRO” MAJĄ OLBŻYME POWÓDZENIE W USA

W jednym z kin nowojorskich regularnie wyświetlane są stare filmy, które w związku z modą „retro” cieszą się ogromnym powodzeniem w Stanach Zjednoczonych. Na początek poszły filmy studia Metro z lat trzydziestych, przesłane jednak na 35-mm taśmę. Retrospektywny przegląd 25 starych arcydzieł potrwa dwa miesiące. Bilety na wszystkie seanse zostały już wykupione.

ODKRYTO TAJEMNICZĄ GWIAZDĘ

Astronomowie brytyjscy odkryli „swoją gwiazdę”. Odkrycia dokonano za pomocą sformułowanego przez W. Brylantię sztucznego satelity Ziemi „Ariel-5”. Światło, że nowo odkryta gwiazda jest najbliższym źródłem promieniowania rentgenowskiego z dotychczas znanych we wszechświecie.

W czasie odkrycia gwiazda wydzielała energię tysiąc razy przewyższającą energię Słońca. W ub. niedziele, w czasie kolejnej obserwacji, uczeni stwierdzili, że zdecydowanie, iż energia emitowana przez gwiazdę przewyższa już 33 tys. razy energię Słońca i nadal wzrasta. Odkrycie to wielce zainteresowało uczonych.

UZNIANIE DLA POLSKICH EDYCJI NA MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE „KSIĄŻKA - 75" W MOSKWI

Na odbywającej się w Moskwie wielkiej międzynarodowej wystawie „Książka-75” ogłoszono i wręczono nagrody. Warto przypomnieć, że na tej reprezentatywnej ekspozycji — zorganizowanej pod hasłem „Książka w służbie pokoju i postępu” z udziałem ponad 500 wydawnictw, firm i organizacji — zgromadzono przeszło 25 tys. pozycji.

Jury pod przewodnictwem członka-korespondenta Akademii Sztuk ZSRR, prof. Andrieja Goncezarowa (w składzie kilkunastuosobowego zespołu międzynarodowego sędziów konkursowych ze strony Polskiej zasiadał rektor ASP Julian Palka) rozpatrzyło 440 edycji z ponad 20 krajów.

Główną nagrodę — złoty medal „Sierp i Młot” — otrzymał radzicki „Politizdat” za wydaną w Moskwie książkę, w której opublikowano przemówienie sekretarza generalnego KC KPZR, Leonida Breżniewa „Wielki czyn narodu ra-

dzieckiego” oraz apel KC KPZR, Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i rządu radzieckiego do narodów, parlamentarzystów i rządów.

W zakresie literatury naukowej Polskę wyróżniono złotym medalem za edycję dzieł Mikołaja Kopernika „Opera Omnia” przygotowaną przez PAN i opublikowaną nakładem PWN. W dziedzinie wydawnictw z zakresu sztuki zdobyliśmy srebrny medal za prace Józefa Grabowskiego „Dawna polska rzeźba ludowa” („Auriga”) i dwa brązowe — za opracowania pod kierunkiem Jerzego Szablowskiego album „Zbiory Zamku Królewskiego na Wawelu” („Arkiady”) oraz album Michała Walińskiego „Hans Memling” („Auriga”).

Jeden ze złotych medali w dziedzinie edycji literatury pięknej zdobył „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza z ilustracjami Józefa Wilkonia („Arkiady”). W tym samym dziale brązowy medal przyznano ilustrowanej edycji „Wierszy i poematów” Władysława Broniewskiego (PIW). Z zakresu

literatury dziecięcej nagrodzono brązowymi medalami dwie pozycje „Naszej Księgarni” — „Bajki miś Uszatka” Czesława Janczarskiego („Nasza Księgarnia”) oraz „Baśń o królu Dardaneu” Janusza Stannego (KAW). W konkursie na ilustrację Andrzeja Strumillo za oprawę graficzną „Mejmo Dagestanu” Rasula Gamzatowa (PIW).

Medale „Sierp i Młot” zdobyły również książki „Wielka historia Komuny” (Francia), „Chile — pieśń i reportaż” (NRD), „Niemiecki opór antyfaszystowski w fotografiach i dokumentach 1933—1945” (RFN).

W dziedzinie literatury politycznej najwyższymi nagrodami zostały wyróżnione publikacje: „Opór” (Francia), „Lenin. Co to jest władza radziecka” (ZSRR) oraz Zbiór Prac Josipa Broz Tito (Jugosławia).

Jury przyznało przeszło 100 nagród za najwartościowsze i najpiękniej wydane książki z dziedziny nauk, sztuki, literatury pięknej i dziecięcej a także za podręczniki.

WRZEŚNIOWY numer „KALEJDOSKOPU”

Po wakacyjnej przerwie ukazał się nowy numer łódzkiego przeglądu kulturalnego „Kalejdoskop”. Ani się obejrzelismy jak niebawem minie już półtora roku i w listopadzie „Kalejdoskop” obchodzić będzie mały jubileusz piętnastego numeru.

Wrześniowe wydanie miesięcznika otwiera wywiad z dyrektorem i zastępcą dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu M. Łodzi — Włodzisławem Pospiechem i Wojciechem Ekiertem. Padło tam wiele interesujących i obiecujących sformułowań na temat roli i zadań w dziedzinie kultury wobec nowej sytuacji terytorialnej województwa łódzkiego, jakim jest Łódź.

Ponadto interesujący wy-

wiad ze znanym aktorem Romanem Klosovskim, który od nowego sezonu obejmie dyrekcję Teatru Powszechnego. Z teatralistów mamy jubileuszowe przypomnienie STS „Estrag” pióra jednego z jego twórców Leszka Skrzydło oraz sylwetkę popularnej aktorki Ewy Zdziezskiej.

Z sylwetek łódzkich ludzi kultury i sztuki „Kalejdoskop” prezentuje postać Bernarda Keplera — kierownika Biura Wystaw Artystycznych, Teresę Wójciszewską-Kubiak — wybitną śpiewaczkę, prof. Konrada Jądzińskiego — uczonego i dyrektora Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego oraz Halinę Lech — działaczkę samorządową RSM „Lokator”.

W numerze znajdują się

również informacje na temat działalności Krajowej Agencji Wydawniczej, ilustrowane kilkunastoma plakatami wydany przez KAW. Spraw plastyki dotyczy także informacja „Układanie świata” — o osiągnięciach młodych łódzkich artystów (W. Karolaka i J. Czerniewskiego) w dziedzinie projektowania form służących wychowaniu plastycznemu dzieci. Bardzo ciekawe są te propozycje, zresztą można obejrzeć na prezentowanych w „Kalejdoskopie” fotografiach.

W sumie numer miesięcznika bardzo ciekawy, nie dziwnego, jest to wszak przegląd kulturalny na otwarcie nowego sezonu.

TELEWIZJA

4-10. IX. 1975

CZWARTEK, 4.IX — program I 18.10 „NACZELNY DOWÓDCA” — film ten upamiętnia postać 85-letniego marszałka Polski — Michała Rola-Zymierskiego oraz udział polskich partyzantów i żołnierzy na frontach II wojny światowej (realizacja WF „Czołowa”).

20.25 Teatr Sensacji wystawia premierowe widowisko angielskiego pisarza — Edmunda Crispina pt. „ELGIA NA ŚMIERĆ NIESZCZĘŚLIWEJ DAMY”. 22.55 Propozycja nie tylko dla melomanów: „MUZYKA W GALERII RZEŹB” — interesujący wieczór dawnej muzyki w warszawskich Łazienkach.

Program II: 16.55 „LUDZIE Z PIERWSZYCH STRON GAZET” — wśród nich: Henryk Tomaszewski, twórca Wrocławskiej Pantomimy, dr Zygmunta Krotchwil, inicjator i kierownik słynnego oddziału chirurgii plastycznej we Wrocławiu i Eugeniusz Król, dyr. elektrowni „Turów”. 18.30 „YAO” — to imię młodego wodza jednego z plemion afrykańskich, który podjął się trudnej walki z zaborcami swojego ojca. 19.00. serial przygodowy „YAO” o walorach poznawczych.

PIĄTEK 5.IX — program I: 20.20 „DOM MOICH SYNOWÓW” — film tv. Gerarda Zaleskiego. 22.05 „ZYWOTY INSTRUMENTÓW” — radzimy nie pominąć tego nowego cyklu Janusza Cegielny. Widowskowie i efektywne potraktowania edukacja muzyczna i ode. — „NA PRZYKŁAD FLET” (kolor).

Program II: 20.20 Ludzie nauki — prof. ar Zdzisław BUBNIKI, wybitny cybernetyk. SOBOTA, 6.IX — program I: 17.40 JULIUSZ HEBEL, dyr. Przedsiębiorstwa Polowów Dalekomorskich „ODRA” będzie gościem widowiskowego programu „WSZYSTKO ZA WSZYSTKO”. 20.35 Telekino zaprasza na przygodowy film angielski „SIDLA”. 22.25 Zwoleńnicy słychy wróżki obejrzą Indywidualne Mi-

sirzostwa Świata na Zużu (kolor). Program II: 18.40 „DOM NA PUSTKOWIU” — debiut reżyserski Jana Rybkowskiego inauguruje w „Sobotnim Kinie” retrospektywny cykl jego twórczości. W tym dramacie psychologicznym grają: Aleksandra Śląska i Maria Gella. 22.00 WIECZÓR AUTORSKI Leszka Drogosza, słynnego mistrza boku

NIEDZIELA, 7.IX — program I: 9.55 Początek transmisji z Centralnych Dożynek w Koszalinie (kolor) 21.20 „W Starym Kinie” czeka nas program szczególnie bliiski WSPOMNIENIA O ADOLFIE DYMSZY

Program II: 18.00 Zwoleńnicy angielskiego filmu kryminalnego oglądają będą 7-odc. serial „NOWY SCOTLAND YARD” w reż. Billy Tunnara

PONIEDZIAŁEK, 8.IX — program I: 17.50 „DZIEŃ PO DNIEU” — to 17-odc. opowieść filmowa TV ZSRR o tematyce społeczno-obyczajowej. 20.20 Teatr TV wznowi „DOZYWOCIE” Aleksandra Fredry w reżyserii Jacka Woszczerowicza i z jego udziałem w roli „Lalki”.

WTOREK, 9.IX — program II: 18.40 „CZY MATEMATYKA JEST KRÓLOWĄ NAUKI?” — to pytanie wprowadza w charakter programu Wandy Konarskiej w znanym cyklu „FAKTY I OPINIE — HIPOTEZY”. 20.25 Angielski dramat społeczno-obyczajowy „NIE MA MIEJSCA NA SENTYMENTY”.

Program II: ŚRODA, 10.IX — program II: 17.20 Początek transmisji z meczu eliminacyjnego mistrzostw Europy w piłce nożnej: POLSKA — HOLLANDIA (kolor).

Program II: 20.55 „SPOTKANIE Z GORAMI” — frajdująca opowieść reżysera GORP Józefa Uznańskiego, w scenarii górskiego schroniska.

AUDYCJE CYKLICZNE

Na telewizję często się narzeka i publicznie demonstrowanie tych niechęci powoduje irytację telewizyjnych twórców. Warto jednak pamiętać, że owo narzekanie wynika z niesychanej popularności telewizji. Po prostu zbyt blisko i na co dzień obajemy ze szklanym ekranem, aby to, co się na nim dzieje, mogło być obojętne.

Gdyby jednak tzw. szary odbiorca oglądał programy w sposób bardziej selektywny — okazałoby się rzycho, że mamy całą masę programów dobrych, a nieraz wręcz znakomych.

Przede wszystkim mam tu na myśli stałe audycje cykliczne. Choćby „Klub Szóstku Kontynentów” prowadzony od lat przez Ryszarda Badowskiego. Idea tego cyklu jest niezwykle prosta. Film, rozmowa, wspomnienia z podróży po świecie, znów fragment filmu, wywiad, rozmowa... Kto wie, może najprostsze pomysły najlepiej się w telewizji sprawdzają?

Ryszard Badowski nie idzie na karkołomne eksperymenty, nie zmienia koncepcji jak rekawiczki. Po prostu starannie wyszukuje interesujących ludzi, mających od powiedzenia coś ciekawego, mogących zademonstrować jakiś kawałek egzotycznych światów zarejestrowanych na filmowej taśmie.

W ostatnim programie „Klubu Szóstku Kontynentów” Badowski przypominał nam po raz trzeci Borysa Malkina, podróżnika i etnografa. Oczywiście nie zamierzam opowiadać własnymi słowami tego, o czym mówił polski podróżnik. Chcę jednak zwrócić przy okazji uwagę na kultury telewizyjnej kuchni. Otóż — zdradził telewizjonistom Badowski — w swoim czasie TV wyświetlała cykl filmów pewnego głosnego i bardzo rozrękanego podróżnika. W jednym z filmów z Ameryki Łacińskiej pokazywał nam miniaturową głowę ludzką, jakie preparują jeszcze do dziś niektóre indiańskie plemiona tego rejonu świata. Podróżnik z dumą stwierdził, że w dalekiej Ameryce udało mu się ten okaz sfilmować. Było to coś w rodzaju clou filmu.

I oto — ujawnia Badowski — ta spreparowana głowa ludzka pochodzi ze zbiorów... muzeum w Warszawie, a sfilmowaną ją, aby ukryć reporterski fałsz — na te egzotyczne roślinności w warszawskim Ogrodzie Botanicznym.

Niby drobiazg, ale takich „numerów” robić chyba się nie powinno w audycjach o charakterze poznawczym.

W programie TV audycje cykliczne, a przynajmniej ich większość, stanowią naprawdę mocne punkty. Sprawdzą się stawa prawda, że działanie od przypadku do przypadku, na zasadzie „doskoku” nie przynosi z reguły ciekawych wyników. Konieczna jest praktyka i specjalizacja.

ZASTĘPCA

NIE TYLKO HISTORIA

FOLKLORYSTYKA K. BRODZIŃSKIEGO

Kazimierz Brodziński podobnie jak wielu twórców naszych z XIX w. nie doczekał się dotąd pełnej monografii. Nie można przecież uważać za nią udanej, ale dość powierzonej książki, jaką autorowi „Wiesława” poświęcił przed laty A. Witkowska, inni badacze zaś — czego ostatnim przykładem książka Milicy Jakóbiec-Semkowej — zajmują się różnymi stronami aktywności K. Brodzińskiego. Rozpoczętemu wydaniu pism pisarza daleko do końca, a wiele jego tekstów w ogóle jeszcze nie ogłoszono. Sam przed dwoma laty odnalazłem, zresztą przypadkowo, arcydzieło rękopisu K. Brodzińskiego, zawierający jego wykład czy wykład, najprawdopodobniej — jak należałoby sądzić z treści — z okresu powstania listopadowego. Tekst to niezmiernie interesujący, bowiem przynosi na pogląd K. Brodzińskiego nie tyle na literaturę polską — o tym wszak głównie wykladał w Uniwersytecie Warszaw-

skim — ale na bieg dziejów narodu polskiego w ostatnim kilkadziesiąt-leciu, od zmagania o zachowanie i umocnienie niepodległego państwa, przez rozbiory i walkę o odzyskanie niepodległości, po ustanowienie Królestwa Polskiego i wybuch powstania. O tym jednak napiszę kiedy indziej, dziś bowiem mam przed sobą rozprawę M. Jakóbiec-Semkowej p.t.: „Kazimierz Brodziński i słowiańska pieśń ludowa”, wydaną przez Uniwersytet Wrocławski (1975), poświęconą folklorystyce polskiego pisarza.

Julian Krzyżanowski określił K. Brodzińskiego mianem „jednego z pionierów folklorystyki w Polsce” i wrocławska badaczka w pełni potwierdza słuszność tego sądu. Z tak charakterystycznych dla wielu intelektualistów jego czasu i środowiska przekonań słowianofilijskich, nie pozbawionych w dobie Królestwa Polskiego implikacji politycznych i stąd rozmaicie interpretowanych, wynikało żywe zaintereso-

wanie dla słowiańskiej pieśni ludowej, owej „sielskiej” poezji gminnej, która tak fascynowała twórcę „Wiesława”. W niej to właśnie, uważanej za czystą skarbnicę dawnego słowiańskiego „ducha”, należało poszukiwać owych szczególnych wartości, mających scharakteryzować indywidualny, niepowtarzalny charakter kultury słowiańskiej. Jednakże K. Brodziński miał dość sceptyczne zdanie o polskiej pieśni ludowej, uważał wręcz, że polskie pieśni są „niezmiernie rzadkie i ubogie”, co zresztą podzielał po części inni współcześni słowianofile, zafascynowani doskonałością takich dzieł, jak „Słowo o wyprawie Igora” czy epikeje, rzekomo prastareksie fałszyfikaty Wacława Hanki. Być może więc ten właśnie niezbyt uzasadniony sceptycyzm w stosunku do polskiej twórczości ludowej, w połączeniu z fascynacją prastawianką — rzeczywiście lub rzekomo, skoro fałszyfikatów było wie-

le — czy też wczesnosłowiańską epiką ludową kierował uwagę polskiego pisarza w stronę ludowej poezji innych ludów słowiańskich. Z monografii wrocławskiej badaczki okazuje się, że nie tylko K. Brodziński dobrze ją poznał, ale pobczył duże zasługi jako jej tłumacz, zaś poetyckie przekłady pisarza, w znacznej części nie drukowane, przedstawiają nieraz znaczną wartość. Twierdzenie o pionierskiej roli K. Brodzińskiego w dziedzinie słowiańskiej folklorystyki znajduje w omawianej rozprawie pełne potwierdzenie. Dorobek pisarza obejmował przede wszystkim pieśni serbskie, tłumaczona na polski głównie z wydawnictwa Vuka Karadžića (wedle zestawienia M. Jakóbiec-Semkowej pisarz przełożył ich 46) dalekie pieśni czeskie, morawskie, słowackie — głównie z wydawnictw F. Czepakowskiego i J. Kolara, wręczając, już w mniejszej mierze, pieśni rosyjskie i ukraińskie. Dorobek translatorski K. Brodzińskiego w tej dziedzinie wart jest przypomnienia. Wysoce cenili go współcześni i potomni, zwłaszcza Adam Mickiewicz, który swój sąd o pracy warszawskiego pisarza i profesora przedstawił w paryskich wykładach. Jako popularyzatora serbskiej pieśni ludowej wy-

soko cenil Brodzińskiego Roman Zmorski, który w swej ostatniej woli zawarł się pochować obok niego na dziedzińskim cmentarzu.

„Fakt ogromnej popularności Brodzińskiego jako znawcy poezji słowiańskiej — pisze autorka — tłumaczyć należy przede wszystkim jego działalność przekładową oraz praktyką poetycką, a także konsekwentnie realizowanemu programowi literackiemu, w którym idylliczna — jego zdaniem — twórczość Słowian miała znaczenie zasadnicze. Jako historyk literatury i tłumacz mógł uchodzić za wyrocznię w sprawach słowiańskich, nie można mu jednak przyznać miana uczonego — folklorysty, gdyż jego poglądy na słowiańską pieśń ludową nie wykraczały poza wrywkowe wiadomości zaczerpnięte z lektur. Niewątpliwą zasługą było przyswojenie polskiej publiczności literackiej tych właśnie informacji, a także uświadomienie roli i znaczenia folkloru słowiańskiego. Za to należą do Brodzińskiemu trwałe miejsce w dziejach sławistyki polskiej”.

LEKTOR

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAZDZYNKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (zastępca sekretarza redakcji).
Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

BYĆ WIERNYM SOBIE — SŁUŻYĆ SPOŁECZEŃSTWU

Z WIESŁAWEM GARBOLIŃSKIM rozmawia JERZY WAWRZAK



Fot.: W. PARYS

WIESŁAW GARBOLIŃSKI urodził się w 1927 roku w Głowniu. Studia ukończył w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (1948–1954), a następnie aspiranturę w Instytucie Malarstwa, Rzeźby i Architektury w Leningradzie (1954–1957). Po ukończeniu studiów osiedlił się w Łodzi. Od 1957 roku bierze udział we wszystkich wystawach okręgowych oraz ważniejszych wystawach ogólnopolskich.

Wystawiał za granicą: w Paryżu, Anglii, Danii, Moskwie, Leningradzie, Berlinie, Rostocku, Pradze, Bratysławie, Budapeszcie, Sofii, Wiedniu, Bukareszcie, Belgradzie, Barcelonie, Madrycie, Finlandii, Montrealu, RFN, Szwecji i Duisburgu.

Otrzymał szereg nagród i wyróżnień. M. in.: Nagroda Ministra Kultury i Sztuki na wystawie XX-lecia PRL, I i III nagroda w konkursie malarstwie „50 lat Rewolucji Październikowej”. — Łódź 1967, I nagroda w ogólnopolskim konkursie na obraz — Łódź 1970 r., nagroda województwa łódzkiego za rok 1971 za upowszechnianie sztuki, nagroda na międzynarodowej wystawie „Malarstwo zaangażowane krajów socjalistycznych”. Nagroda III stopnia Ministra Obrony Narodowej 1973, nagroda I stopnia Ministra Kultury i Sztuki 1975 r.

Prace Wiesława Garbolińskiego znajdują się m. in. w zbiorach: Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Lenina w Warszawie, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego w Warszawie i Łodzi, w Dorrman Museum w Middlesbrough — Anglia, Muzeum Historii Sztuki Współczesnej w Finlandii.

— Najpierw, drogi Wiesławie, serdeczne gratulacje od Zespołu naszego pisma, a myślę, że mogę do nich śmiało dołączyć wyrazy uznania od miłośników malarstwa i ludzi kultury i sztuki całej Łodzi. Sądzi, że niezależnie od osobistego, wysokiego wyróżnienia Twojej osoby nagrodą Ministra Kultury i Sztuki I stopnia, jest to wyróżnienie całego środowiska plastycznego i niewątpliwie splendor dla kulturalnej Łodzi.

— Dziękuję. Tak, między innymi, odebrałem tę nagrodę. I to mnie jeszcze bardziej satysfakcjonuje i zobowiązuje na przyszłość.

— Od dawna interesuje mnie Twoje malarstwo, mam też niejako obowiązek przedstawienia czytającej publiczności „ureata, ale przynajmniej się szczerze, że nie to jest powodem naszej rozmowy, lecz pozycja, jaką zajmujesz w Łodzi i jako artysta i jako działacz. Interesuje mnie więc w tym momencie zarówno Twoja postawa twórcza jak i aktywność społeczna. W obu przypadkach obserwuję dużą konsekwencję. Np. od początku jesteś wierny konwencji realizacyjnej w swoim malarstwie.

— Już w czasie studiów zarysowała się moja postawa twórcza i od tamtego momentu wierny jestem realizmowi. Pogłębiły to studia w Związku Radzieckim, obcowanie ze światowym zbiorami sztuki realistycznej. Wyobraź sobie, że podczas trzyletniego pobytu w ZSRR prawie codziennie, po kilku godzinach, przebywałem w Ermitażu. W tym czasie szczególny wpływ na mnie wywarła sztuka bizantyjska, ikona rumska. Można to dosłownie w moim malarstwie z wcześniejszego okresu.

— Trzeba przypomnieć, że w o wym czasie dominowała, i. a. królowa sztuka abstrakcyjna. Wielu artystów rzeczywiście odczuwało potrzebę szukania nowych środków wypowiedzi, ale, myślę, że nie mniejsza liczba ulegała pewnemu terrorowi mody, snobizmowi, nowinkarstwu, częściami popadając w epigonstwo wobec sztuki Zachodu.

— Najważniejsze są treści, jakie niesie sztuka. Z nich wynika i jest jej podporządkowana forma. Nie oznacza to, że jest ona stała, że nie ulega przemianom, gdyż tak samo ulega przemianom i świat, w którym żyje. Ale w tym jest ciągłość. Kiedyś postugiwałem się formą bardziej skondensowaną, skrótową, atakowałem wprost pewne problemy, nawet w sposób dość uproszczony. Od pewnego czasu szukam formuły bardziej skomplikowanej, poszerzającej ogląd świata o elementy ponadrealne. Ale to nie wynika z mody, z ulegania modzie, nie autentycznego wyniknąć nie może. Liczy się tylko głęboka wewnętrzna potrzeba, sumienie, szczerze wypowiedzi. Na marginesie dodam, że istnieje także duch przekory — nie włączać się do chóru. Poza tym nie byłam osamotniony. W owym okresie powstała w

Łodzi grupa realistów: Krawczykowski, Liberski, Skrobiński, Różga i wielu innych. Nie tylko powstała i przetrwała, ale jako „szkoła łódzka” zdobyła sobie zaszczyt wysoką pozycję w kraju i za granicą.

— Ludziom sukcesu zawsze groziło niebezpieczeństwo. „Zdobyłem laury, jestem popularny. Pół życia na to straciłem, może by tak przyjąć nagrodę, odciąć kupon od kapitału!”

— Potrzeba tworzenia istnieje do samej śmierci. Nikt nie wie, kiedy osiągnął szczyt swoich możliwości. Zmiany, jakie zachodzą w psychice ludzkiej, są jego siłą napędową, nie pozwalają mu „spocząć na laurach”. Ale słusznie wspominałeś, że osiągnięcia są czasami niebezpieczne. Np. obawa przed zmianami, że to, co będą robił w przyszłości nie spotka się z takim samym uznaniem. A więc owoiłem siebie, bo to sprawdzone, uznane, bezpieczne. Tak, niebezpieczne jest to czerpanie ze „złotej żyły”, która się wydaje niewyczerpalna. A tak nie jest, bo przychodzi moment powielania samego siebie i jest to koniec twórczości. Studia nad historią sztuki przynosiły na ten temat szereg pouczających przykładów.

— Malarstwo nie jest sztuką wyizolowaną z kultury. Cierpiąc bezpośrednio ze świata realnego, sądzi, że również w jakiś sposób absorbując świat stworzony przez inne gatunki sztuki, np. literaturę. Dla mnie często obraz jest literaturą bez słów, wierszem, poematem barw, opowieścią liryczną czy nawet całą epopeją, dramatem.

— Jako pisarz rozumiałeś, że preferujesz literaturę. Ja raczej, zgadzając się, że malarstwo nie może zamknąć się we własnym kręgu, widziałbym sumaryczny wpływ kultury w ogóle na postawę każdego twórcy, niezależnie jaką dziedzinę reprezentuje. Moje związki z teatrem, filmem, muzyką, a zwłaszcza z literaturą są niewątpliwie, chociaż trudno by dostrzec, jakie bezpośrednie zależności. Moja twórczość byłaby w przeciwnym wypadku o wiele uboższa.

— Wielu artystów uprawia wyłącznie swój ogródek i nie ich więc nie obchodzi. Czasami nawet odnoszą wrażenie, że puszają swoją pozycję outsiderów. Szanując prawo każdego do zajmowania w społeczeństwie miejsca, jakie uważa za najgodniejsze, powiem, że na szczęście nie są to postawy powszechne. Ty także jesteś jej zaprzeczeniem, drugą kadencję przeżycia oddziałowi ZPAP, który przeszła ponad 700 osób. Dlaczego tak postępujesz, kosztem własnego warsztatu, który podczas licznych zebrań, wyjazdów, akcji itd. stoi zamknięty?

— Jest to moja wewnętrzna potrzeba i efektem świadomej postawy. Jest naturalną potrzebą człowieka żyjącego w zbiorowości ludzkiej, obowiązkiem nie tylko brania, ale i dawania z siebie. Stanie z boku jest obce każdemu autentycznemu twórcy, jest stratą nie tylko dla danej społeczności, ale i dla niego samego.

Współczesnictwo wzbogaca, zejście na pobocze zabija każdego. Zawsz pracowałem społecznie, od czasów studenckich począwszy i nigdy nie miałem wątpliwości, że jest to jedynie słusna postawa. Oczywiście wszystko musi być w racjonalnych proporcjach. Liczy się głównie to, co pozostanie po nas trwale: obrazy, rzeźby, książki, partytury...

— A nie dręczyła cię nigdy obawa przed posadzeniem, że działaczowi dalszymi poglądami różnych frustracji osobę, skorzystał z bliskich kontaktów z władzą. Przyklejanie takich etykietek nie jest rzadkością, jako że przeszłość zwalczamy niezbyt skutecznie.

— Nie chcę polemizować z absurdalnymi poglądami różnych frustratów, z ludźmi wiecznie niezadowolonymi, bezkrytycznymi wobec siebie, którzy w ten sposób często tłumaczą własne niepowodzenia. W rzeczywistości w naszym środowisku liczy się autorzy twórcy. Jeśli się go nie posiada, nie zdobędzie się zaufania większości, przepadnie się w demokratycznych wyborach. Trochę nie o swoje sprawy, lecz o całe środowisko, reprezentacja i obrona tych interesów — to drugi warunek akceptacji. W przeciwnym wypadku „kariera” działacza szybko się kończy.

— To by się zgadzało z faktami. Wasz Związek Artystów Plastyków w naszym mieście wyrobił sobie opinię przełnie działającego środowiska i — nie umniejszając innym — nadaje ton życiu kulturalnemu Łodzi.

— Nie tylko u nas w Łodzi, w kraju, ale i na całym świecie plastyka odgrywa coraz większą rolę. Jest obecna na każdym kroku w życiu codziennym, odpowiada na zapędrzenie społeczne. Musimy więc wyciągnąć z tego wnioski, jak również pamiętać o tym, żeby poziom zapotrzebowania był coraz wyższy, co można osiągnąć poprzez ciągłe wychowywanie społeczeństwa przez sztukę. Służą temu m. in. wystawy, plastyczne. Niestety, w Łodzi nie mamy najlepszych warunków, gdyż pod względem wielkości powierzchni wystawienniczej jesteśmy na końcu dużych miast. Jednak nie ograniczamy się do narzekania, ale przy tych warunkach staramy się wykorzystywać wszelkie możliwości. Tak powstało międzynarodowe Triennale Malarstwa, szereg wystaw ogólnokrajowych czy przygotowujemy obecnie na jesień międzynarodowe Triennale Tkaniny. Nasza aktywność, a nie narzekania, najlepiej przekonywały władze, że niezbędne są inwestycje w tym zakresie.

— Jest to powielanie tradycyjnego modelu upowszechniania sztuki.

— Naszą inwencję ograniczają warunki. W przyszłości będzie inaczej. Już nawet trochę próbujemy. Chcemy do współpracy wciągnąć psychologów, socjologów, historyków sztuki, aby wypracować naukowe formy działania. Realizujemy np. wspólnie z Biurem Wystaw Artystycznych cyklę zapoznające odbior-

ców z najciekawszymi zjawiskami sztuki i ich twórcami, które kształcą zarówno wrażliwość plastyczną a także dydaktycznie porządkują wiedzę o przedmiocie.

— Wspomniałeś o wpływie sztuki na życie codzienne. Moim zdaniem to raczej pobożne życzenie niż fakt. Chociaż, zdaje się, nie do ZPAP należy kierować pretensje.

— Mówiłem o potrzebach. I nie znam dziedziny życia, gdzie by one nie występowały. Naszą rzeczą jest, aby takie przekonanie stało się powszechne. Daliśmy temu wyraz podczas Tygodnia Plastyki na sympozjum poświęconym kształtowaniu środowiska człowieka. Miejsce zamieszkania, miejsce pracy i miejsce wypoczynku — to obszary, które nowoczesnie, zgodnie z estetycznymi potrzebami człowieka, nie sposób zagospodarować bez udziału sztuki.

— Co oferujecie, jakie są przeszkody, żeby te niewątpliwie słuszne idee zrealizować?

— Oferujemy konkretne projekty, gotowość współpracy. Reszta to sprawa bazy wykonawczej, środków, a przede wszystkim zaangażowania odpowiednich czynników, tych którzy inwestują i tych, którzy nadzorują. Właściwie to proponujemy więcej niż projekty. Ostatnio od władz miasta otrzymaliśmy cegielnię, gdzie mamy zamiar stworzyć pracownię specjalistyczną, np. kamienniarstwa, ceramicy, słowem chcemy eksperymentować: organizować pokazy, jak ostatnio w „Elcie” blach emaliowanych, doskonale nadających się na elewacje zewnętrzne.

— To było podczas Tygodnia Plastyki. Jeśli się nie myli, to jest też wasz oryginalny pomysł. Jak się udałoimpresa?

— Różne są opinie, ale Tydzień swoją rolę spełnił. Było to skomaszowane uderzenie, czasami w agresywnej formie. Zorganizowaliśmy ponad 20 wystaw, tłumnie obiegana aukcja z przeznaczeniem dochodów na cele społeczne, ciekawe sympozjum. Imprezę tę będziemy chcieli kontynuować z pewnymi modyfikacjami. Wyniesione z niej doświadczenia podpowiadają, że można ją będzie uzyć jeszcze bardziej widowiskowo, a więc masową, powszechnie propagującą sztukę plastyczną.

— Podczas Tygodnia Plastyki mieliście dobrą prasę. Codziennosc jest jednak, w moim odczuciu, odmienna. Powiem wprost: wasze dokonania nie znajdują odpowiedniej weryfikacji krytycznej, czy nawet zapisu dokumentacyjno-informacyjnego. „Odgłosy” też tym z tego zarzutu nie wyłączył. Co wy na to?

— Podzielałm twoje zdanie, niestety. Inne środowiska twórcze też pewnie odczuwają podobny niedosyt, ograniczone zainteresowanie krytyki artystycznej. Nasz Zarząd podjął ostatnio inicjatywę powołania przy ZPAP Klubu Krytyki Plastycznej, który skupi ludzi potrafiących pisać o plastyce. Chcemy im stworzyć odpowiednią platformę działania, inspirować, zachęcać. Na wszelki wypadek dodam, by nie być źle zrozumiannym — nie ingerować w ocenę. W tym całym przedsięwzięciu zależy nam także na zorganizowaniu dobrego informacyjnego do prasy centralnej, która nas praktycznie nie dostrzega. A przecież wiele imprez o charakterze ogólnopolskim i międzynarodowym zasługuje na odpowiednio do ich rangi upowszechnienie.

— Od roku jesteś docentem PWSSP, prowadząc pracownię malarstwa. W czwartym wicepremier Teichma wręczył Ci nominację na rektora tej uczelni, co nie było wielką niespodzianką. Jak pamiętasz, „Odgłosy” żywo interesowały się działalnością waszej akademii, z tym, że nie był to dialog pozytywny. Sądzę, że to sprawa bezprośnej przeszłości. Deklarując współpracę o konstruktywnym charakterze (co nie wyklucza, oczywiście, krytyki) pytanie: co będzie najważniejszą próbą dla nowych władz uczelni?

— Dla mnie jako rektora, profesury i studentów jedną z najważniejszych spraw jest zakończenie budowy nowego gmachu uczelni. To sprawa

zasadnicza, o życiowym znaczeniu. Obecne warunki są fatalne i technicznie niemożliwują wprowadzenie jakiegokolwiek zmian. To w przeszłości wytwarzało nie najlepszą atmosferę.

— Jaka jest perspektywa, konkretny termin?

— Budowlani obiecują ukończyć prace do października przyszłego roku. To byłaby wspaniała rzecz, ale przy obecnym tempie pracy i zaangażowaniu robot, termin ten wydaje mi się zbyt optymistyczny. Liczę bardzo na pomoc władz, które, jeśli chodzi o kulturę, dały w ostatnich latach wiele dowodów, że te sprawy leżą im na sercu.

— Odlóżmy więc te sprawy na jakiś czas, bo rozmowę trzeba kończyć, a mam jeszcze dwa pytania. Jesteś członkiem Komitetu Łódzkiego partii. Dwa lata temu głosowałeś za przyjęciem programu rozwoju kultury do roku 1980”. To daleka przyszłość, ale ostatnio nauczyliśmy się cenić czas i liczymy każdy dzień. Chciałbym Ci prosić o ocenę: jak realizowane są zamierzenia zawarte w tym programie, dotyczące Twojego środowiska.

— Chciałbym na wstępie podkreślić, że program nie jest planem, dyktują inne priorytety. Komplikują się sprawy wystawiennicze. Nastąpiła zmiana koncepcji wybudowania filharmonii łącznie z galerią sztuki. Galeria będzie samodzielna i została zlokalizowana przy ul. Piotrkowskiej. To oczywiście opóźni jej realizację, z czym trudno nam się pogodzić, gdyż bez galerii odpowiadającej skali potrzeb i wymogom nowoczesnego wystawiennictwa nie można mówić o pełnym rozwoju sztuk plastycznych na terenie naszego miasta. Niekorzystna to sytuacja i dla nas, ale przede wszystkim dla milionowego miasta.

— Przytoczyłem teraz pozytywne elementy. Otrzymaliśmy galerię na Starym Rynku. Adaptowano dla potrzeb Biura Wystaw Artystycznych piękną, secesyjną willę przy ul. Wólczarskiej. (Notabene stać się ona powinna miejscem spotkań środowisk twórczych, spotkań autorskich, wieczorów poetyckich, koncertów kameralnych). Dobrze wygląda sprawa pracowni. Łódź, jak żadne inne miasto, oddaje tak wiele pracowni plastycznym. Np. w br. około 30. Dobrze też układa się współpraca z przemysłem, zakładami pracy, szkołami. Te i wiele innych zrealizowanych postulatów środowiska plastycznego cieszy i napawa optymizmem na przyszłość. Sprawy przyszłości, rozwoju miasta są mi szczególnie bliskie, to wszystko, co w życiu osiągnęłam, miało tutaj miejsce. I znając nie najlepszą przeszłość tego miasta, marzy mi się czas, w którym sprawy kultury byłyby nie tylko dostrzegane, traktowane poważnie, ale miałyby dyskusyjny priorytet. Wtedy dopiero my, twórcy i działacze kultury, mogliśmy nieco zartobliwić, będziemy mogli spocząć na laurach.

— Od lauru rozpoznałeś i chciałbym też zakończyć akcentem. Osobistym. Twoja żona jest malarką, jesteście typowym małżeństwem artystycznym, o podobnych zainteresowaniach i poglądach. Dla mnie to sytuacja dość skomplikowana. Los żon artystów sam w sobie nie jest łatwy, a kiedy dochodzi własna twórczość... Spory, rywalizując, rywalizując?

— W naszej sytuacji ktoś musi tracić. Jest dom, są dzieci. Te obowiązki nie są rozdzielone równo. W moich wszystkich wyróżnieniach, jakie mnie w życiu spotykały, udziału żony nie da się przecenić.

— To dobry akcent na zakończenie rozmowy. Jest przecież Międzynarodowy Rok Kobiet. Serdecznie dziękuję Ci za interesującą rozmowę.

Urodził się w 1889 roku w Turcu pod Stanisławowem. Był najmłodszym z sześciorga rodzeństwa. Póki żył ojciec, maszynista kolejowy, pan na parowozie, w białych rękawiczkach, w rodzinie panował dostatek. Ale po jego śmierci życie się odmieniło. W dwa lata bieda rozpędziła rodzinę.

Na poszukiwanie zarobku ruszyli w świat nawet najmłodszy. 15-letni Eugeniusz i starszy o parę lat Edward.

Pożegnanie z matką odkładano z dnia na dzień. Póki jest w domu bodaj czerstwa kromka chleba, nie puszczę — mówiła stanowczo. Odkładali więc podróżne węzelski, śniąc niespokojnie o dniu nieucnionym. Kiedy nadszedł, a głód zwolnił hamulce, dzień klęsk osłodził sobie tysiącami obietnic. Nie zapomniemy. Będziemy cię kochać. Przyjedziemy po ciebie w złotej karocy... I po tak uspokojonych sumieniach, jak po ubitym trakcie, ruszyli w daleką drogę. Na plechotę — oczywiście. Mijając ostatnie zabudowania, zdjęli buty i przywiesili na klku, obok węzelski jak na szkolnym obrązku.

Najmując się do każdej roboty, korzystając z owoców i cienia przydrożnych drzew, po paru tygodniach wędrowki zatrzymali się w Witkowicach. Miasta naówczas owianej legendą podobną tej, która towarzyszyła powstaniu Nowej Huty.

Z opowiadań ojca wiedzeli, że sternicy monarchii Austro-Węgier uczynili z ziem Czech i Moraw (przez bliskość surowców, centralne położenie) przemysłowe Eldorado habsburskiej korony. Kosym okiem patrzyły inne, ogolane ze skromnego dorobku prowincje, w tym i Galicja, jak to ich kosztem rozwija się przemysł u sąsiadów.

Spierano się w Wiedniu, w Krakowie i gdzie indziej. Targowano o własne potrzeby, ale decyzje strategów były niepodważalne. A logice ich wywodów trudno było cokolwiek zarzucić. „Zagłębia Czech i Moraw od północy bronią Niemcy, od zachodu i południa Matka Korona. Zadna zawierucha wojenna nie zakłóci pracy tego ośrodka dla dobra, chwały i potęgi Habsburgów”. Wobec takich argumentów wszystkie inne tracili swą moc. Ze były słuszne, dowiodła tego nie tylko pierwsza, ale i druga wojna światowa. Zniszczenia materialne w tym rejonie Europy, były w porównaniu z innymi, najmniejsze.

Z pomocą strategom pośpieszyli politycy. Utrwaliłi rodzący się antagonizm przez podsycanie zazdrości niezadowolonych. A wystawiając Czechów na zawistę sąsiadów, czynili z nich najwzierniejszych podanych Korony.

Echa tamtych sporów przetrwały tu i ówdzie do naszych czasów w formie różnych lokalnych uprzedzeń i niezasadzonych pretensji.

Znalazł się więc Eugeniusz z Edwardem w samym środku przemian, u powiny rodzącego się przemysłu i nowych idei. Bez kłopotu znaleźli pracę, pokój przy czeskiej rodzinie i miejsce w piwiarni, gdzie po ciężkiej pracy można było posłuchać swarzających się socjaldemokratów.

Głowy mieli otwarte, wielkie idee trafiały im do przekonania, ale razem z oparami piwa poili się również bezsensowno. Na wybór zbieranych zawładną nauką brakowało im wykształcenia. Dopiero życie nauczyło ich tej robocizarskiej sztuki wybierania wśród idei różnych tej jednej, prowadzącej nieomylnie do celu.

Z pierwszych lat wśród obcych wyniósł Eugeniusz poczucie proletariackiej wspólnoty i wole walki o społeczną sprawiedliwość. Zdani tylko na własne umiejętności w trzy lata po zaczęciu pracy wyzwalili się. Ale kiedy posiadli fach, świat jakby się przed nimi otworzył. A Witkowice za małe, żeby pomieścić ich marzenia. Wyjechali więc do Wiednia. Pociągami, jak na czeładników przystało, w nowych ubraniach, z walizką.

A matka czekała. A karoca była coraz bliżej, jeszcze tylko pewnie jeden skok i wróca.

W stolicy dokonali robocizarskiej edukacji. Zdobyli tytuły mistrzów gilemistrzów i coś, co zdobyć chyba najtrudniej — szacunek i uznanie partyjnych towarzyszy.

W wolnych chwilach siadywali w ogródkach, słuchali koncertów, a wóń perfum z parujących ciał wiedeńskich midinetek, budziła myśli szalone. Świat był piękny, sił dużo, a walka o społeczne ideały prawie wygrana.

Nieraz pytałem go: powiedz mi, dlaczego wyjechaliście z Wiednia?

Był dla nas za piękny. Mieszczańskim w zawrotnym tempie. Po złożeniu egzaminów mistrzowskich sens, cel życia jakby się przed nami rozplynął. Sprawili sobie buty „Delka”. Nie pasowały do partyjnych zebrań. Powodzenie zawodowe wypręglło nas z walki o robotnicze prawa. Jeśli chcieliśmy nawiązać do naszych ideałów, musieliśmy wy-

rzec się zdobyć. Edward był tego samego zdania.

Buty „Delka”, wizytowe garnitury, białe koszule złożyliśmy u znajomych na przechowanie, a sami, w wystużonych ubraniach ruszyliśmy piechotą w Europę.

A matka czekała, lata mijaly, a karoca była coraz dalej.

Tego wieczora Eugeniusz rozgadał się. „Wiesz ile mam lat? Nieraz spoglądam wstecz. Co zostało z mego życia? Dziesięć, dwanaście, trzynaście dni godnych zapamiętania, a reszta — same plewy”.

— Jesteś zbyt surowy.

— Możemy policzyć. Cheesz? Pierwszy ważny dzień to wyjście do domu. Pamiętam, jak wybijaly, go-

Minęło parę tygodni. Zapomniałem Była niedziela. Dzień pogodny, ciepły, wiatkiem chłodzony, aż prosił o poobiedni spacer. Klara dziwnie marudziła. Widocznie zwlekała z wyjściem. A kiedy trzecia wybiła na zegarze, rozległo się ciche, zdecydowane pukanie. Klara znieruchomiała. Westchnęła głęboko i podbiegła otworzyć drzwi.

Weszła dziewczyna o rozpalonych czerni oczach, pszenicznych grubych warkoczach, piersiach sterzających jak dojrzale snopy zboża pod białą, wykrochmaloną bluzką. Szyja długa, smukła wynosiła głowę wysoko ponad ramiona. Podkreślał to dekolt głęboki, ale skromny, okolony starannie wyprasowaną koronką. W

ale nie znalazłem odpowiedniego słowa. Czy wiesz, że mnie to męczy do dziś? Człowiek powinien umieć nazwać to, co widzi i czuje.

Tego wieczoru Mitzzi sama wróciła do domu, nie pozwoliła się odprowadzić. W dwa tygodnie potem wyjechałem do Budapesztu.

— Dlaczego?

— Przepraszam, jeśli nie chcesz, możesz mi nie odpowiedzieć? Ile miałeś lat, kiedy pierwszy raz pocałowałeś się z dziewczyną?

— Szesnaście.

— A ja miałem wtedy dwadzieścia pięć. Kiedy się tak długo czeka na miłość, trudno jej sprostać. Przerosła mnie, przerosła. Nie mogłem o niczym innym myśleć, pracować,

straszili się odpowiedzialności. Nieraz zastanawiałem się, jak mogło do tego dojść. Myślę, że o żywotności ideologii, nie po raz pierwszy zresztą, zdecydowały względy psychologiczne.

Przed wysiedleniem z Budapesztu uratowała mnie mobilizacja. Uratowała — wielkie słowo. W dniu wybuchu wojny chciałem wypełnić samobójstwo, ale, jak wiesz, natura jest przebiegła. Podosunęła mi myśl — po co masz się sam zabijać, niech cię zastrzeli twój towarzysz z vis a vis. Kto wie, nie będę się bronił. Co za bzdura. Kiedy nad Piawą doszło do walki wręcz, do czasu tego ataku strzelałem Panu Bogu w okna, grałem jak szalony, byle jak najszybciej zepsuć amunicję, ale kiedy bagniet zaczęli się z karabinem, błysnął przede mną, a z lewa, z prawa, z tyłu usłyszałem charkot przedśmiertny, ogarnęła mnie dzikość i zdziżałem towarzyszkę z naprzeciwka rozprułem brzuch zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć.

W parę godzin po walce wygrzebałi mnie spod trupów sanitariusze Catego zaryzyganego, ale bez najmniejszej nawet rany. Myśleli, że zwarłowałem. Parę tygodni spędziłem w szpitalu, zanim znowu wystąpiłi mnie na front.

Do Budapesztu wróciłem w dniu wybuchu Komuny. Nigdy już nie usłyszę Międzynarodówki śpiewanej z takim entuzjazmem. Zadna już pieśń nie wzruszy mnie bardziej. Zadna nie wycisnęła tyłu łez, ile ta, w dniu zwycięstwa, w dniu swojej krótkiej chwały. Ty tego nie zrozumiesz, ale mnie się wtedy zdawało, że historia to my na barykadach, a pieśnią na ustach, z oszalałymi ze szczęścia oczyma. Taki cud, kiedy słowo staje się ciałem, nie każdemu się zdarza. Co było dalej, wiesz. Z cudzą i boską pomocą zwyciężyłi Horthy Miklos katonaya vadiok. Biały terror zawiadł miastem. Przez kilkanaście dni ukrywali mnie towarzysze w piwnicach swoich domów. Wreszcie udało im się wprowadzić mnie i jeszcze paru poza granice miasta. Wróciłem do domu. Matka czekała. Wróciłem bez karocy, w podartych butach, w zniszczonym ubraniu. Równie biedny jak wtedy, kiedy z Edwardem wyruszyłem na podbój świata. I to był dzień siódmy mego życia, zamykający cykl tworzenia.

— Powiedz mi, czy matka bardzo się ucieszyła?

— Czy ja wiem? Ucieszyłiśmy się bez słowa. Dopiero na drugi dzień, kiedy byliśmy sami, powiedziała. „Tyle razy oplakiwalam twój powrót, a wczoraj nie mogłam. Pewnie dlatego, że to prawda była”.

W parę tygodni potem za pożyczonych od starszego brata pieniądze znowu wyruszyłem w drogę. Tym razem w poszukiwaniu miejsca na wieczne legowisko. Wybrałem Krosno, małą miejscę z dużą przyszłością. Znalazłem gości z pieniądzem, dodałem do nich swoją rzemieślniczą wiedzę i tak powstała spółka, odlewania żelaza. Poznałem Wiktoria, ożeniłem się.

Po paru latach wadzenia się z losem zateknęliśmy do partyjnej roboty. Zgłosiliśmy się do KPP. Nie przyjęli mnie. Znamy was, towarzyszu, szanujemy, wiemy o waszej węgierskiej przeszłości. Ale właśnie ze względu na nią nie możemy was przyjąć. Czy wiecie, że was obserwowują, co dzień sprawdzają waszą lojalność? Gdybyśmy was przyjęli, ściąglibyśmy sobie na kark całą policję powiatu. Upilem się do nieprzytomności. I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Mitzzi. Stała przede mną, grzacz długi słome, jakby bez uczucia. Wpatrywała się we mnie palającymi czernią oczyma, a potem przechodziła coraz częściej, po każdej małżeńskie sprzeczce, nocy pełnej rozczarowań. Przychodziła nawet w chwilach szczęścia, kiedy rodzili się moje dzieci. Oglądała je jak swoje.

Po raz drugi zgłosiłem się w 1945 roku. I tym razem odmówiła mi przyjęcia. Znamy, stary towarzysz wziął mnie pod rękę, wyprowadził dyskretnie z lokalu. „Możemy cię przyjąć, ale dla twojego dobra nie radzę ci przyznawać się do tego, co było w Budapeszcie, Bela Kun, jakby ci to powiedział, różnie o nim mówią. Zaczynaj cię ciągnąć, wypytują, po co ci to”.

Tego dnia po raz ostatni widziałem Mitzzi. Jak ona tak mogła zemścić się na mnie? Za co? Co tak na mnie patrzyła? Teraz wiem, że to była zemsta. Przychodziła, żeby wyrwać sens z mego życia, ośmieszyć moją ofiarę. Przez wiele lat była moim ideałem, do którego wszystkie drogi rozmyśla powódz. A kiedy zobaczyła moją klęskę, odeszła. A może umarła w tym momencie? Bo jakże to sobie inaczej wytłumaczyć? Dlaczego przestała przychodzić?

Dziwisz się pewnie, po co ci te głupstwa opowiadam. Nie daj sobie odebrać ideałów. Obłąk nigdy się ich nie wyparł, choćby policja całego świata deptała ci po piętach. Nie pozwól, żeby twoje życie straciło sens.

KAROL OBIDNIAK

TAKI SOBIE ZNAJOMY

dzina po godzinie, myślę, pamiętam wyzierały nieśmiało granatowe czubki trzawików. Zamarłem. Brakło mi powietrza. Ta wieczność mego życia trwała sekundę, dwie a może dziesięć, nie wiem. Pomyśl, ile szczegółów można zobaczyć w jednej chwili, zapamiętać na zawsze. A ile dni, miesięcy, lat wypada z pamięci bez śladu. Czy to nie dziwne?

Wkrótce Klara z Edwardem zamieszkała w kolonii domków robotniczych przy Fabrigasse, na samym końcu Simmeringer-hauptstrasse. Dalej były już tylko pola uprawne, dorodne wysokie zboże, kosiło się pięknie tego roku.

Po podwieczorku, jak zwykli, wyszedłem z Mitzzi na spacer. Szliśmy zieloną drożką, szeroką na dwie osoby, między żytem a pszenicą. Nagle Mitzzi odwróciła się, zerwała piękny, duży czerwony mak i wpinając go w kłopot mojej marynarki, przytuliła się do mnie. Ale tak jakós dziwnie, inaczej, od stóp aż po usta czulem ją cała. To było coś niesamowitego. Z trudem opanowałem drżenie. I wtedy Mitzzi odchyliła lekko głowę, westchnęła cichutko, zamknęła oczy i pocałowała mnie. Nie wiem, co działo się dalej. Pamiętam tylko, że obsypałem ją pocałunkami. Kiedy się ocknąłem, stała nade mną zaplakała Klara, przy niej Edward biał jak nigdy, a dopiero za nimi, krok, może dwa, stała ona — Mitzzi. Gryzła długą słomę, jakby bez uczucia była. Tylko dwie nie obeszchnięte łzy iskrzyły się w oku, tuląc się do ogromnych, nienaturalnie rozwartych źrenic.

Kolacje zjedliśmy w mleczeniu. Tylko oczy Mitzzi, czerniejsze niż zwykle, wpatrywały się we mnie nie-ruchomo. Nie, nie, nie, to były spojrzenia krótkie, ulamkowe, ale mnie się zdawało, że ona patrzy na mnie bez przerwy. Tyle było w jej oczach czegosego. Nie wiem jak to określić. Nieraz już chciałem i nigdy mi się nie udało. Szukałem w słownikach,

w obecności Mitzzi serce pękało mi od bicia na brwogę. Edward z Klarą, ich uczucie było naturalne, spokojne, a i to Edward jakby zapomniał o naszych ideałach, przestał chodzić na zebrania, zaczął stronić od pracy partyjnej. Czy uwierzysz, że on w ciągu paru miesięcy zmieszczniał tak, jakby tkwił w mieszczaństwie od urodzenia. Nie, nie, nie chciałem dzielić jego losu. Dla mnie wtedy najważniejszą była praca dla proletariackiej rewolucji. Wielkie słowa wyszły z jego ust, sytych i wrogów. Wtedy, żeby być rewolucjonistą, trzeba było codziennie dokonywać wyboru, codziennie z czegoś rezygnować, choćby z takiej miłości, która sama dla siebie staje się sensem i celem życia.

Wyjechałem bez pożegnania. I tego nie może sobie wybaczyć.

— Trudno było inaczej.

— Mylił się.

— Wystarczyłoby jedno jej słowo, spojrzenie, żeby się zatrzymał.

— Możliwe. A jednak postąpiłem jak tchórz. Chciałem uzdrowić świat, a nie miałem odwagi spojrzeć dziewczynie w oczy. A trzeba było, trzeba było bez względu na to — zostałbym czy nie. Inaczej potoczyłoby się moje życie. Inaczej. Idea poznania w witkowieckiej piwiarni, zmieszana z gorzkim smakiem piwa, okazała się silniejsza od Mitzzi. Który to dzień, liczysz?

— Piątą.

W Budapeszcie, dzięki listom polecającym dostałem pracę dobrze płatną, ale gnany niepokojem. Żalem, pędziłem z wiecu na wiec, wygłaszałem przemówienia, agitowałem za pokojem. Nie śmiał się, ja wiem, że to brzmi zbyt familiarnie, ale wtedy był rok 1913. Zanosilo się na wojnę. Czym się to skończyło, wiesz. Całkowitą klęską socjaldemokratów. Zdradą naszych ideałów. A może to nie była zdrada, a brak wyobraźni, wiary we własne siły. A może zwyciężające tchórzostwo pchnęło ich w ramiona militarystów. Tak, tak, wy-

Dalszy ciąg ze str. 1

dzie pamiętają. Weston ma więc za sobą dość bogatą karierę — jak dotąd nie uwiecznioną żadną nagrodą festiwalową.

Nie chcę nic sugerować, ale jak znam życie, nigdy by nie ryzykował występu na Festiwalu „w ciemno”. Myślę również, że popsuly się nasze stosunki z płytową firmą „Polydor”. Reprezentująca ją piosenkarka Diana Marchal była jedną z najlepszych wykonawczyń festiwalu, ale jury jakoś dziwnie jej nie zauważyło. Błąd naprawili dopiero „ci profani dziennikarze”, co jednak znaczy, że nie są oni aż tak bardzo cyniczni.



Tradycyjne nagrody otrzymali wykonawcy „Melodii” z Tallina i Erywania. Oczywiście jak najbardziej zasłużenie.

Podobnie reprezentantka „Polskich Nagrań” Anna Jantar, o wiele mniej ciekawa piosenkarka niż choćby świetna Bogdana Zagórska, ale... Anna Jantar reprezentowała „Polskie Nagrania”, a Zagórska nie mogła być brana pod uwagę, ponieważ wystąpiła poza konkursem. A tak w ogóle, jeśli ktoś lubi eksperymenty, niech zrobi następujący. Proszę kupić płyty Anny Jantar i kasety Bogdany Zagórskiej — a potem usiąść w domu i przysłuchać. Mimo oczywistych różnic w odtwarzaniu z gramofonu i magnetofonu MK-125 — zobacz co jest grane.



W tym roku w Sopocie zmienił się organizator, zmienił się miejsce biura prasowego, które wyeksmitowano z Grad Hotelu do pawilonu BWA.

Zmieniło się również coś więcej. Nowy organizator — Bałtycka Agencja Artystyczna zdecydowała się w roku jubileuszowym dać pięć koncertów w Operze Leśnej. O ile pomnę, w historii festiwalu jest to posunięcie bez precedensu. Już przy czterech koncertach Festiwal stawał się imprezą nużąca. Ale pięć koncertów

MACIEJ KICIŃSKI

COCTAIL UCZUĆ MIESZANYCH

to jest pięć razy ileś tam tysięcy widzów, razy 140—160 zł za bilet na koncert.

Co się zatem stało? Czy istotnie w tym roku tak bardzo obrodziły zgłoszenia na Festiwal, czy po prostu selekcja wykonawców była bardziej łagodna? Nie wiem. Na to pytanie nie udało mi się uzyskać autorytatywnej i wiarygodnej odpowiedzi.

Zaczęło się natomiast zabawnie. Pierwszą konferencję prasową zwołano w małej salce, mieszczącej może 50 osób. Oczywiście zrobił się straszliwy balagan, duszno i tłoczno. Stojący przy drzwiach chcieli się dostać do środka, ci, co już weszli, nie puszczali, bo ściany pawilonu nie chciały się rozstąpić.

Wtedy padła propozycja: „Niech każdy z państwa weźmie swoje krzesło i przejdzie piętro wyżej do większej sali”. Tak więc festiwal rozpoczął się w atmosferze uroczego balaganiku.

Jest natomiast na Festiwalu — zawsze i od lat — pewna grupa ludzi, która nigdy i w żadnej sytuacji nie może stracić głowy. Dziwna rzecz, ale ilekroć dobrze pisze się w Łodzi na temat orkiestry Henryka Debicha, zawsze wychyczą to i wy-

nie zraziło mnie do orkiestry Debicha.

Zespół dyr. Debicha ma na Festiwalu wystarczająco dużo morderczej wprost roboty. A wszystko wyglądałoby o wiele prościej, gdyby muzycy otrzymywali cały materiał nutowy. Niestety. Bodaj nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. I nikt jak do-

ład — ani poprzedni organizatorzy, ani tegoroczni nie mogli się zdecydować na jakies obstrzeżenia w tym względzie. Uzależnił zgłoszenie od dostarczenia całości przezręczystego materiału w odpowiednim terminie — to zadanie ponad siły organizatorów. Trwa więc wielka improwizacja.

A mimo wszystko, twierdzą to nie po raz pierwszy, orkiestra Henryka Debicha jest jednym z najmocniejszych punktów festiwalu. Szkoda, że tak często pozostaje w cieniu bardzo średnich wokalistów, wykonujących bardzo średnie piosenki. Niech te parę zdań uznania dla trudnej pracy i artystycznego wkładu łódzkiej muzyków w kształt Festiwalu będzie choć niewielką rekompensatą dla nich i ich dyrektora.

Jeśli już o łódzianach mowa, to warto odnotować ciekawą inicjatywę



nowego dyrektora „Estrady Łódzkiej” Andrzeja Józwiaka. Otóż jego firma zorganizowała w dniach Festiwalu ciekawą wystawę grafiki, malarstwa i rysunku Andrzeja Gruna, skądinąd zresztą współpracownika naszego pisma. I choć niezręcznie mi w tym miejscu reklamować kolegę, to trzeba powiedzieć, że ekspozycja w Klubie Związków Twórczych w Sopocie wzbudziła duże zainteresowanie. Dotychczas z okazji Festiwalu eksponowano plakaty, nikt dotąd nie wpadł na pomysł, aby wystawić grafikę i malarstwo o motywach muzycznych. Dlatego inicjatywa dyr. Józwiaka, który to ryzyko nowatorskiej ekspozycji podjął, zasługuje na duże uznanie.

Wystawa potrwa w Sopocie do połowy września, a potem, być może pokazana zostanie także w Łodzi.

W sumie na pięć festiwalowych koncertów najciekawszy i prawdziwy „europejski” był koncert galowy, w którym wystąpiły takie tuzy piosenki jak Karel Gott, Frank Schoebel, Klari Katona — a z Pol-

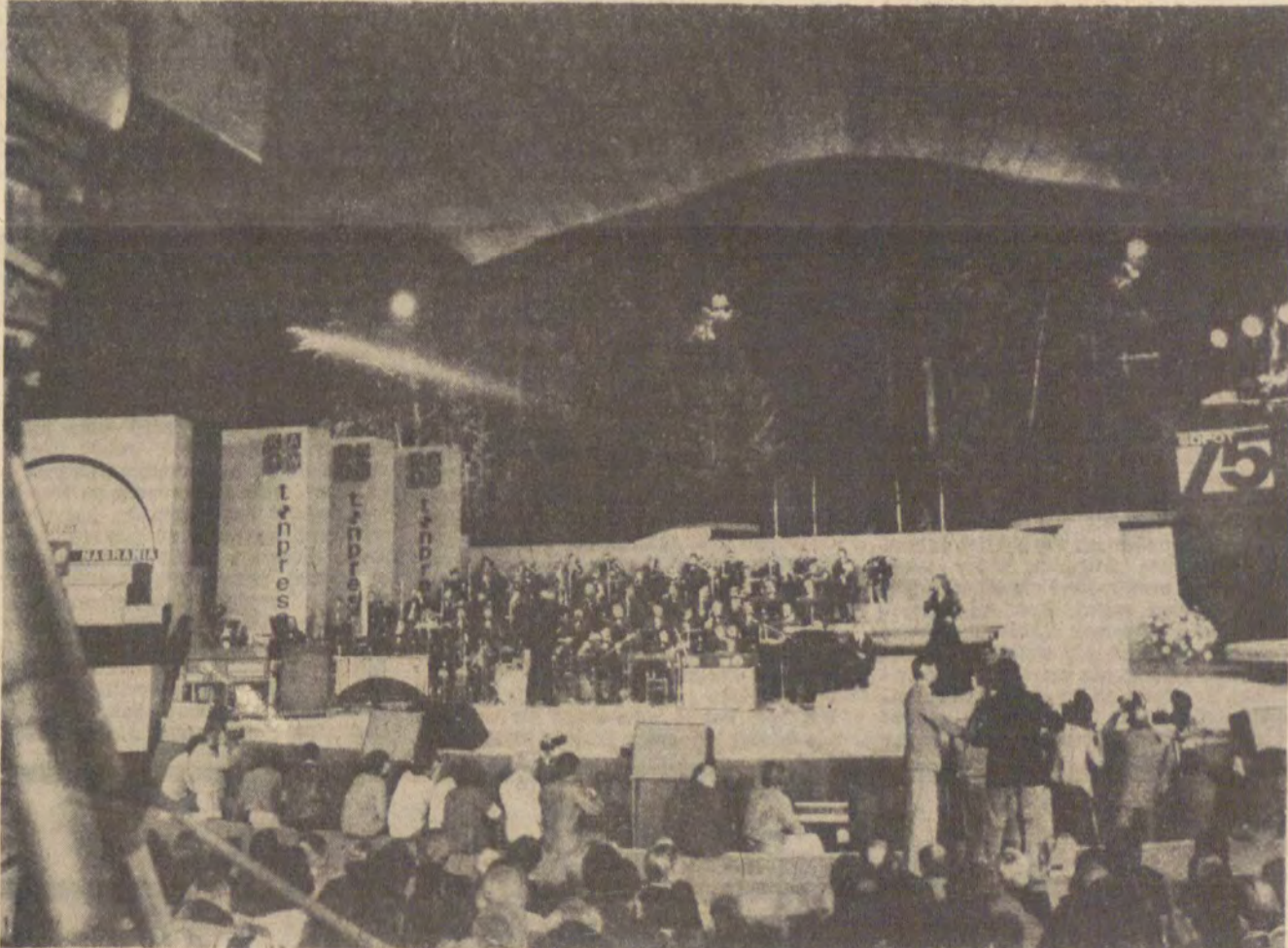
ski Urszula Sipińska, Zdzisława Sośnicka, Krzysztof Krawczyk... W innym zaś koncercie wystąpiła wschodząca gwiazda polskiej piosenki Lucyna Owsieńska. I to była autentyczna atrakcja.

Może zresztą były i inne, bardziej ukryte przed oczyma publiczności. Komentator „Trybuny Ludu” widzi Sopot od innej nieco strony — i zapewne ma rację. Twierdzi mianowicie, że Festiwal jest obecnie ważnym miejscem spotkań i kontaktów programowych oraz handlowych na linii Wschód — Zachód, a jego funkcje nie zamykają się w jednostronnych interesach naszej fonografii, ale dotyczą również interesów całej fonografii krajów socjalistycznych. Jest to więc ta druga strona Festiwalu, kto wie czy nie ważniejsza od nudy więcej często z estrady, od organizacyjnych niedociągnięć. Ale tego już nie widzi ani widz Opery Leśnej ani tym bardziej telewizji.

Na koniec refleksja. Można wybrzydząć na Festiwal, może mnie irytować balagan, nuda więjąca z estrady, że człowiek chciałby uciec pod estradę — do zacisznej kawiarenki... Można wieszyć koniec festiwalu. Oczywiście można.

Ale kiedy się spojrzy na te tłumy walące co wieczór do zimnego amfiteatru, na te tłumy okupujące twarde ławki w czasie prób... Przecież to w końcu dla nich, dla tych ludzi — którzy może i będą wybrzydzać — podobnie jak ja — ale jednak od piętnastu lat przychodzą.

Więc co z tym Festiwalem? Nie wiem. Właśnie dlatego nazwałem te refleksje cocktailem uczuć mieszanych.



Zdjęcia wykonał WŁODZIMIERZ PARYS

pięć uczeni koledzy z Księstwa Warszawskiego. Tak zresztą było i w roku ubiegłym, co mnie oczywiście mogło zrazić do owych kolegów, ale

ŁEB FLĄDRY

Od moia, soppockie Monte Cassino wygląda jak pointelistyczny obrazek, powieszony za wysoko — trzeba zaciągnąć głowę, aby go obejrzeć; od strony kolejni ta sama Monte Cassino wygląda jak tenże obrazek, ale powieszony za nisko. Obrazek a nie obraz, bo też Sopot nie kurort a kurortek.

Latają go jak mogą barwne plachty namiotów na kempingach; ścisną ją jak obrzeże betonowej osiedla; wspierają go naszym gotyckim przypory, wieżowce Przyczmoca. Kurortek zaś jak nadmuchała żaba tuli się do morza, które przypomina bardziej portowa płowiną niż upragniony żywioł, co się balwanami pieni. Ciężkie od brudu liże z wyraźnym wstrętem brudniejszy jeszcze od niego piasek plaży. A mimo to, dziewczyny tego lata były w Sopocie opalone na wszystkie odcienie złocistości i brązu. Stąd zapewne pointelistyczny obrazek, gdy mu się dobrze przyjrzałem, okazał się wcale ładnym.

Lubię Sopot jesienią, kiedy pustoszeje. Lubię zimą, kiedy zupełnie pusty i pełen nostalgii. Lubię wiosną, bo wio-

sną lubi się na ogół wszystko. W tym roku w upalne lato, jakim nas aura obdarzyła, Sopot zupełnie sympatycznie wyglądał. Może dlatego, że te dziewczyny apetycznie opalone...

Znalazłem się w Sopocie akurat w okresie, kiedy odbywał się tam jakiś festiwal. Podobno był to festiwal międzynarodowy. Festiwal, a zwłaszcza międzynarodowy, mają to do siebie, że przyciągają ku sobie pewnych ludzi, którzy skłonni są przypisywać im pewne cechy i wartości, o które nigdy nie zabiegali i których nigdy nie osiągnęli. Na skutek ich działań jedne festiwale zostają zarządzone jak cielecia w rzeźni miejskiej, a inne, którym udało się uciec spod noża same popielają samobójstwa.

Pewien mój znajomy, bywalec festiwalu, wyznał mi kiedyś (z okazji jakiegoś festiwalu):

— Niewinni są na festiwalach tylko zwykły widzowie. Oni kupują bilety.

Słuszne to zwłaszcza, gdy weźmie się pod uwagę, że kupują oni bilety za

własne pieniądze i nie mają nie a nic do powiedzenia.

Ale wróćmy do Sopotu. Otóż, jak rzekłem, odbywał się tam jakiś festiwal, bodajże międzynarodowy i to chyba piosenkowski, ale pewności co do tego ostatecznej nie mam. Na żadne w każdym razie widome a wyraźne dowody na odbywanie się takowego nie natknąłem się. A ludzie mówili różnie. Ot, jak to ludzie. Jedni, że jest i że jest to duża sprawa do przodu. Drudzy, że owszem, jest, ale że jest to całkiem mała sprawa i nie do przodu, a zupełnie w drugą stronę. Jeszcze inni twierdzili, że nie ma nic, że nie nigdy nie było i nie będzie i że taka widać gleba i mikroklimat, że nawet gdyby posłać, to i tak nie urośnie.

Mój znajomy objaśnił mi, że Bobi Solo to emerytowany piosenkarz, który teraz, mając dużo wolnego czasu, objeżdża sobie różne festiwale rozwijające się. Był on podobno kiedyś bardzo dobry. Obecna przy naszej rozmowie, a toczyła się ona w trakcie skromnego, smażonego śniadania wieśniackiego (jajecznicza zamiast jajek w szklance), na tarasie kawiarni „Złoty Ul”, pewna pani oświadczyła mi, że Bobi Solo jeszcze dzisiaj jest dobry. Ona powiedziała to mniej więcej tak: — Bobi jes wariat. — Obaj ze znajomym, znając doskonale

absolutny słuch, w jaki natura wyposażyla obficie naszą złościę opaloną interlokutorkę, skwapliwie przyznaliśmy jej rację, aby nie wyjść na ostatnich betonów.

Innym dowodem, że to, co się działo w Sopocie, w drugiej połowie sierpnia mogło być rzeczywiście międzynarodowym festiwalem, były rozwieszane na plotach białe transparenty z napisem „Roma — zespół cygański”.

Powyższe transparenty jednak nie do końca mnie przekonały, bo, co prawda, Cyganów, a raczej Cyganek na Monte Cassino spotkałem sporo, to jednak żadna z nich nie śpiewała ani nie tańczyła. Wszystkie za to chciały mi wróżyć.

Może więc w Sopocie był jakiś festiwal, a może go nie było. Nie mam na ten temat wyrobionego sądu. Jeżeli był, to mu na zdrowie, a jak go nie było, to nie straconego, bo można przecież zawsze coś zorganizować. W kurortach, nawet najmniejszych, obok kielbas z ruszty i lodów coś jeszcze powinno być, zwłaszcza, że morze coraz plugawsze, plaże coraz brudniejsze, lasy coraz rzadsze, a góry coraz niższe. Czymś trzeba to wszystko zastąpić. Można by festiwalami.

Z kulinariów — polecam znakomitego śledzia po kartusku, który jest śledziem ogólnodostępnym, czyli można go

dostać w każdej knajpie. Wyśmienity. I dlatego ze smutkiem przeczytałem w ostatnich „Kontynentach”, że śledzi jest coraz mniej na świecie, a raczej w wodzie. Występuje odnośnie śledzi zjawisko tak zwanego przelowienia. Występuje ono i w stosunku do innych ryb popularnych. Skutki tego stanu rzeczy w kurortcie Sopot są szczególnie widoczne i dotkliwie. Jest to chyba jeden z pierwszych morskich kurortów świata dotkniętych klęską rybnego nieurodzaju. W restauracjach są jeszcze mrożone, z zapasów dorsze i halibuty panierowane i sauté, w sklepach są salatkę i sardynki inspektowe w konserwie, ale świeżej smażonej lub wędzonej flądry, gorącej, ociekającej tłuszczem, aromatycznej jak żagle pirackiej korwety — daremnie się szukał.

Jakis amerykański uczone odkrył, że pewien gatunek ryb, żyjących dotąd w morzu, nagminnie, całymi stadami wylazi z naturalnego środowiska, zanieczyszczonego i zaczyna przystosowywać się do życia na lądzie, bo ma już dosyć, a instynkt każe mu przetrwać. Może zatem nasze flądry przeniosły się do rezerwatu Puszczy Białowieskiej?

JAN KOWALSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Uległość i miłość, jakie okazywał żonie, tłumaczono czarami, głosząco, że rzuciła na niego urok, usidliła go diabelskimi praktykami, a później wprost wzięła w swych pokojach. Wiadomości o tym, że król z senatorami musi czekać, nim się ona wystroi i „wyburda”, wzbudzały zgrozzenie, piętnowano też jej „leniwe ubieranie” i swobodę dworu. Dla jej emancypacyjnych, jak byśmy dziś powiedzieli, poczynań ogół nie miał żadnego zrozumienia. Stał też niechęć i wrogość, która występowała poza wawelskimi bramami, poza bezpośrednim zasięgiem królewskiej władzy. Czynnio zresztą afronty nawet pośrednio królowi, zagraniczni dyplomaci odmawiali bowiem składania wizyt Barbarze, nie uznawali jej za królową. Postponowano ją zresztą także w inny, nieraz bardzo przykry sposób, np. ulicznicy biegli za jej karetą krzyżując, że jedzie czarownica!

Wspomniany już poseł króla rzymskiego Jan Lang pisał: „Umysły ludzkie zdają się stronić od króla, a osobliwie od królowej (...) Żadnego bowiem pozorów uczciwości małżeństwa tu nie ma. Król nie ma wcale powagi, a o królowej powiada się że ma jakiś urok. (To znaczy jest czarownicą)”. Autor listu trochę przesadzał, afronty były jednak bolesne. To wszystko spowodowało, że w psychice Barbary powstała głęboka niechęć do Krakowa, do tutejszych ludzi. Powstał w niej wprost uraz, który występował do końca życia.

Najniebezpieczniej przedstawiała się sytuacja w dalszym ciągu w Wielkopolsce. Powracającego z sejmu piotrkowskiego kasztelana Andrzeja Górki powitała tamtejsza szlachta w 5000 koni. Takie samo powitanie zgottowano także prymasowi Mikołajowi Dzierzgowskiemu jako podziękowanie za ich działalność w czasie sejmu. Na wieści o tym Zygmunt August przeszedł do kontrataku, w połowie kwietnia 1549 roku postanowił osobiście udać się do Wielkopolski, by spacyfikować tamtejsze nastroje Barbary samorzutnie postanowiła towarzyszyć królowi, z czego tenże był bardzo zadowolony. Planowano wyjechać z Krakowa latem 15 sierpnia tegoż roku. Wiadomość iż Barbara zamierza towarzyszyć królowi wzbudziła konsternację, wręcz popłoch pośród części dworzan i rodziny Radziwiłłów. W tych kręgach uważano bowiem, że w Wielkopolsce spotykają żonę królewską afronty, iż jej wizyta nie ulagodzi, lecz tylko zaostrzy sytuację rozjątrając tamtejszą szlachtę i przeciwnych małżeństwu panów. Stał więc zarówno hetman Tarnowski jak inni senatorowie oraz Czarna i Rudy Radziwiłł gorąco odradzali królowi zabieranie małżonki oraz próbowało wyperswadować ten projekt samej Barbarze. Ta ostatnia poczuła się zdradniona w dumie i ambicji, perswazyje potraktowała jako lekceważenie jej pozycji i stanowiska. W tej sprawie zwróciła się oczywiście z zapytaniem czy ścisłej żalania do Zygmunta Augusta, który także niechętnie przyjmował uwagi odradzające wspólny wójaż. Król miał uspokojone słowami: „Jeśli ja was pojął, za was się nie wstydzę, dlaczego was wzięcie nie mam?” Jest oczywiście, że słowa te jeszcze bardziej utwierdziły naszą bohaterkę w zamiarze odwiedzenia Wielkopolski. Czarna

i Rudy w swej korespondencji biadali nad tym uporem nie rezygnując wszakże z dalszych namów, obawiali się bowiem, że prezentowanie Barbary Wielkopolskom spowoduje skandal i najróżnorodniejsze komplikacje o charakterze politycznym. Czarna do Rudego pisała 4 lipca: „Ani moja, ani żadna największego i najmniejszego perswazyje nie nie pomoże, jeśli się samą naprze (...) Ale to pewna, że pojedzie li tam, upstrzą kolebkę paskwilisy, trzeba będzie osobnych sztaflerów, co by je obdzierali”. Nie zrażający się oporami Czarna odbył z kuzynką jeszcze jedną poufną konferencję, w wyniku której Barbara zgodziła się zrezygnować z wyjazdu do Poznania. Wyjazd ten nie dośzedł zresztą do skutku z powodu wybuchu epidemii a na-

cowi Janowi Zygmuntowi Zapolii, walczącemu wtedy z Habsburgami o niezawisłość Węgier, król rzymski obiecał zaś posiłki wojskowe Jagiellonomi. Wiadomość o traktacie rozeszła się szybko wywołując duże wrazenie. Król Ferdynand wcale nie spieszył się do niesienia pomocy, nasze koła rządowe rozgłaszały jednak, że wyborowe pułki austriackie i hiszpańskie gotowe są do wkroczenia do Polski, panikarze rozpowiadali, iż wojska habsburskie znajdują się już na terenie Rzeczypospolitej. Przymierze z Ferdynandem, bezkompromisowe stanowisko Zygmunta Augusta, ostudziły nastroje. Okazało się, że pomstujaca na małżeństwo królewskie szlachta wojny domowej jednak nie chce (co świadczyło o niej bez-

ważnością). Z drugiej strony król stosował bardzo zręczną taktykę. Jawnie faworyzował przychylnych mu senatorów, przekupywał przywódców szlacheckich, uzyskiwał zwolenników „hojnymi dawkami”. Właśnie na te cele, nie tylko na wydawane na cześć Barbary bankiety i jej stroje, rozchodziły się odziedziczone po ojcu pieniądze. Zygmunt August okazał się w 1549 roku mistrzem w stosowaniu przysłowiowej metody kija i marchewki, straszył obcymi wojskami i zjednywał królewskim złotem. Trzeba przyznać, że częściej uciekał się właśnie do tej „marchewki”. Taktyka przynosiła rychło efekty, szeregi opozycji zaczęły się kruszyć i topnieć. Pierwszy przeszedł na stronę dworu prymas Mikołaj Dzierzgowski. Dokonał tego już w sierpniu, natychmiast po zawarciu przymierza z Habsburgami. Po nim pod sztandary królewskie sięgnął powołany, przestał frondować nawet tak zagorzali opozycjoniści, jak marszałek Kmita, kasztelan Górk, pertraktował z dworem wojewoda Jan Tęczyński. Nieprzejdanymi przeciwnikami małżeństwa pozostał tylko nieliczni, jeśli chodzi o magnatów, to był nim przede wszystkim wojewoda brzeski Rafał Leszczyński. Masz szlacheckie, zdradzone przez swych przywódców i rzekomo solidaryzujących się z nimi panów, zastraszone obcym żołnierzem, nieco zdeorientowane, nie były już zdolne do zdecydowanych akcji.

W tej sytuacji otwarty 4 maja 1550 roku sejm piotrkowski przebiegł spokojnie i w myśl życzeń dworu. Początkowo opozycja próbowała jeszcze atakować króla, lecz wobec opowiedzenia się po jego stronie znanych dygnitarzy, wobec przybycia do Piotrkowa posłów habsburskich, którzy oświadczyli wyraźnie, że pan ich „wspomagał będzie i bronił króla polskiego w każdej potrzebie”, zamilkła. Izba poselska przyjął potwierdzenie praw od króla takie, jakie jej proponował na poprzednim sejmie. Barbary nikt nie śmiał otwarcie już atakować, żądano tylko by na przyszłość król nie zawierał małżeństwa bez zgody rad koronnych. Zygmunt August odjeź-

dził z Piotrkowa w triumfie, kasztelan Górk trzymał mu przy wyjeździe strzemię, marszałek Kmita odprowadził go aż do Krakowa. Triumfował także na sejmie brat stryjeczny Barbary Mikołaj Czarny. Wiedząc, że posiada on laskę u króla, zabiegano o jego względy, fetowano, zapraszano na uczty. Odwiedza li go nie tylko senatorowie, lecz także i szlachta. Radziwiłł podejmował wszystkich hojnie, choć żał mu było pieniędzy, to jednak nie skąpił chcąc strzec, jak pisał, „powagi książęcej i sławy przodków”. Najbardziej był zadowolony, że nie powstają już przeciw małżeństwu. Razem z innymi członkami rodziny utwierdzał też Zygmunta Augusta w przekonaniu by koronować Barbarę. Ostatnie miesiące m.in. dosłownie: „Kiedy się na pokój zawrze dzień albo kilkanaście, jej już nie widzieć, ani tam sługa wchodziżaden, na koniec i pana lubelskiego (ochmistrza królowej) nie puszcza. Zakolatawszy musi być wstydem bez wpuszczenia wynić, co go jako wzdry pierwszego urzędnika bardzo obraża”. Koszucki podnosił także jej obojętny stosunek do ludzi, do spraw, które promowała. Bystry dworzanie szusen dostrzegał, że nie czyniła tego i jakiejś złośliwości lecz „dla jakiegoś rozprężenia ducha”.

Fuki, szukanie samotności, jakieś niekontrolowane reakcje stanowiły skutki choroby, nie chcąc jednak wyolbrzymiać tego czynnika i tylko nim tłumaczyć jej wszystkie, wzbudzące zastrzeżenia, poczynania. Pisałem już wyżej, że wychowana w wielkopolskim domu wykazywała zawsze pewną wyniosłość, nieco obojętny stosunek do ludzi. Jej królewskie małżeństwo w pewnym stopniu mogło pogłębić tę postawę, z wżym wawelskich komnat nie dostrzegała niedoli i frasunku ma luczki. Była wielką feudalną damą, która nie przejmowała się zbytnio losem pospólstwa. Nie znaczy to jednak, że była zupełnie obojętna, właśnie z tego okresu pochodzą listy dowodzące, że wstawiała się za służbą, chętnie widywała domowników radziwiłłowskich. Wydała się, że na podstawie dwóch czy trzech informacji nie można też wyolbrzymiać jej reakcji.

Zygmunt August w dniu 3 sierpnia 1549 roku pisał, że kiedy na królową przyszedł ciężki atak choroby, to on sam ratował żonę, a jej dwórki spały. Pisał dosłownie: „Myśmy więc na koniec sami wszystką noc mozołowali, a każda z panien dobrze na to spała”. Z tekstu wynika jasno, że Barbara nie histeryzowała, nie stawiała na nogi swego dworu w czasie swych ataków chorobowych. Jeśli dwórki mogły sobie spokojnie spać podczas choroby swej pani, to chyba z jej charakterem nie było jeszcze tak źle. Barbara nie wstawiała się za pentami także ze względu na wrodzoną sobie delikatność, nie chciała być natrętną wobec męża, który wysoko cenił jej zalety. Protęgowała członków swej rodziny, chętnie widząc jak spadają na nich laski królewskie, w poczynaniach tych jednak także nie przekraczała miary, czyniła to bardzo taktycznie. Pragnę mocno zaakcentować, że rezydując na Wawelu nie stała się przysłówowym agentem radziwiłłowskim, nie przedkładała dobra tego domu nad sprawy państwa. Badający tę kwestię Józef Jasnowski pisze, że Mikołajowi Czarnemu „nie udało się wręcz jej całkowicie do rydwanu rodowej polityki Radziwiłłów i uczynił z niej coś w rodzaju wpływowego przedstawiciela domu Radziwiłłowskiego na dworze królewskim”.

Radziwiłłowie nie wierzyli w trwałość królewskiego uczucia, pisałem że tak było jeszcze w Wilnie, to samo nadmieniali podczas jej pobytu w Krakowie. Czarna obserwując na Wawelu zakochanego Zygmunta Augusta pisał do Rudego 4 lipca 1549 roku: „Goręca miłość łatwo gaśnie”. Inni obserwatorzy, widząc miłość królewskiej pary, byli jednak innego zdania, na przykład dobrze zorientowany w sytuacji Koszucki nie dostrzegał tego rodzaju niebezpieczeństwa, wierząc w siłę królewskiego uczucia, niechętni jej tłumaczyli to znów działaniem zadanym władcy czarów. Wbrew krakanom pesymistów wielka miłość nie gasła, ukazując nawet coraz nowe przejawy uczu.

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

WALKA O KORONĘ

stepnie innych planów królewskich.

W pewnych pracach, m.in. Jasienicy, chęć wyjazdu Barbary do Wielkopolski oceniana jest jako dowód jej lekkomyślności, wręcz głupoty, jako decyzja kompromitująca. Nie szedłbym tak daleko. Jest pewne, że nasza bohaterka nie była statystką i nie za bardzo orientowała się w nastrojach opozycyjnej szlachty. Mimo wszystko nie była przeciętą w innym kraju i próbką zniewag i napaści miała już w Wilnie a ostatnio nawet w Krakowie. Decydując się na wyjazd musiała liczyć się z wrogimi sobie akcjami. Upięrajac się przy chęci towarzyszenia królowi dawała dowód swjej odwagi, determinacji. Może, wychowana na Litwie, wyżej ceniąc autorytet królewski, nie dopuszczała myśli, by odważono się w jaskrawy sposób znieważać małżonkę władcy? Znamiennie, że z Barbarą chciał jechać sam Zygmunt August, doskonale przecieź zorientowany w nastrojach szlachy wielkopolskiej, z którą potykał się na sejmie piotrkowskim 1548 roku. W decyzji zarówno Zygmunta Augusta jak i Barbary widziałbym konsekwentne, aktywne przeciwdziałanie opozycji. Stał też postępowanie Barbary oceniam dodatkowo, jako przejaw jej przywiązania do męża i w pewnym stopniu także zaangażowania w toczącej się kampanii. Fakt iż zrezygnowała wreszcie z wyjazdu, po trwających kilka miesięcy interwencjach i perswazjach, dowodzi, że dawała się przekonać, jeśli tylko przytaczano rzeczowe argumenty.

Naprężona sytuacja polityczna, groźba otwartej rewolty szlachty zmusiła Zygmunta Augusta do szukania oparcia i pomocy zagranicą, ścisłej u innych monarchów europejskich. Z inspiracji przede wszystkim Radziwiłła Czarnego król zwrócił się o pomoc do Habsburgów. W marcu 1548 roku wysłał do krajów rakuskich biskupa Stanisława Hozjusza, który przeprowadził negocjacje dotyczące przymierza między królem polskim a jego byłym teściem, królem rzymskim Ferdynandem. 2 lipca zawarte zostało przymierze, król polski zobowiązał się w nim nie udzielać pomocy swemu siostrzeń-

W tę sytuację otwarty 4 maja 1550 roku sejm piotrkowski przebiegł spokojnie i w myśl życzeń dworu. Początkowo opozycja próbowała jeszcze atakować króla, lecz wobec opowiedzenia się po jego stronie znanych dygnitarzy, wobec przybycia do Piotrkowa posłów habsburskich, którzy oświadczyli wyraźnie, że pan ich „wspomagał będzie i bronił króla polskiego w każdej potrzebie”, zamilkła. Izba poselska przyjął potwierdzenie praw od króla takie, jakie jej proponował na poprzednim sejmie. Barbary nikt nie śmiał otwarcie już atakować, żądano tylko by na przyszłość król nie zawierał małżeństwa bez zgody rad koronnych. Zygmunt August odjeź-

1550 roku Zygmunt poświęcił też realizację tego planu.

Wykruszenie się opozycji, pomyślne dla Barbary układy polityczne nie sprawiły jej pełnej satysfakcji, bowiem na przestrzeni 1549, a szczególnie 1550 roku, coraz częściej zapadała na zdrowie. Nie była to jeszcze choroba obłożna, po krótkich cierpieniach królowa wracała do codziennych zajęć, wizyt, polowań, potrafiła się cieszyć i bawić. Niemniej jednak choroba, okazało się później, że śmiertelna, toczyła jej organizm i powodowała rozmaite reperkusje, przede wszystkim w sferze jej psychiki. W tym czasie w osobowości Barbary występowały poczęły niekorzystne objawy, które się co prawda cofały, niemniej przebieg i rodzaj choroby przedstawiały później, tutaj tylko nadmienię, że warunkowane patologią zachowanie królowej stało się przyczyną nowych plotek i przysporzyło jej znów wrogów. Chęć równocześnie zaakcentować, że jej reakcji z pewnych okresów tych lat nie można, jak to czyni część historyków, traktować jako typowych dla osobowości Barbary w ogóle, szczególnie nie można przenosić ich na poprzedni okres jej życia.

Barbara była zawsze trochę uparta a równocześnie spontaniczna w swych reakcjach. Do 1548 roku włącznie nie słychać jednak, by te jej cechy spowodowały konflikty z otoczeniem (opinie Czarnego, jak pisałem, należy przyjmować bardzo ostrożnie). W tym czasie wystąpiły zaś różności niepokojące zjawiska, w pewnych dniach cy tygodniach, będąc fizycznie pozor nie zdrową, wykazywała wielką drażliwość, wybuchowość, uskarżano się na jej „fuki” i kaprysy. Z tego powodu chciała np. opuścić jej otoczenie dworka Skotnicka, zresztą inspirowana przez niechętną Barbarze Tarnowską, kasztelanową wojnicką. Sekretarz Koszucki, bardzo wobec królowej życzliwy i lojalny, w poufnej korespondencji do Mikołaja Rudego z dnia 14 sierpnia 1549 roku donosił, że w zachowaniu jego pani razi wiele rzeczy. Stawała się czasem zarozumiała, poczęła unikać otoczenia, całymi dniami zamykała się w swych pokojach. Pisał

POEZJA

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI
Osmećnica i jej siostry

Kiedy niebo otwarło chłodne jak zapasę powieki
I wyjrzało spoza nich złociste bolioko,
Drzewa puściły sok, wiatr rozmarzawszy go wiał
Zielony jak gra w zielone i skrzek, i pierwsza miłość.
Wtedy wyszedłem w pole — słabeusz z nicją serdeczną
Przeciętą przez pierwszą Parę (przestroga) i wyszły jak wpięru
Naprzeciwy chłopca w mundurku, w czapeczce okrągłodennej
(Na znaczkę książka otwarta) trzy piękne damy z młodości,
W mikołajewskich kołnierzach, w kapeluszech w jarząbki,
Kaźda z woreczkiem drucianym. Ej, posunęły się, ej,
(A był i Anioł Pański). Pierwsza szepnęła, że jest
Ta jak raz Osmećnicą, co siała smutek do wierszy
(Ej), bo się domagał tego w tym czasie jeszcze czas wierszy,
Choć nie czas życia — te nadal było jak gra w zielone.
Druga bąknęła: — Ja — Żal i siostra moja Tęsknica
Dziś ci wspaniemy do wierszy twych smutków multum i huk,
Bo tego chce twój czas życia, choć wcale nie chce czas wierszy.
A Anioł Pański zamruczał: — O tak, a tak, ach, tak.
Wszystko się dziwnie plecie na tym niezmiennym świecie.
A Żal wybuchł: — Dlaczego nie żyjesz w zgodzie z czasem?
Czemu wciąż na rozłogach wierszy chcesz szukać widm,
Nas — sobowótów twych uczuć i własnych rąk załamanych
I biegających za tobą jak kury konfesjonalów?
Przecież po miedzach chodzą strojne jak w Sopot na moło
Jedne po drugich Izmy, w starannym makijażu
I w słynnych szokiem kracjach? I mówi tak Osmećnica:
— Pozwolisz, siądę przy tobie. Czy masz może gazetę
Z ostatnim horoskopem? A Żal: — Są trumny w Japonii,
Które wstrzymują rozkład...

MRÓWKI I ŁAN NA ANIOŁ

Na wszystkich piętrach łanu ziola i Istoty
Pracują jak najskrzętniej by zbliżyć wiek złoty
Najniżej pilne mrówki w półmrokach parteru
Trudzą się wśród spizowanych słomy kapitelów
W krag pięt mkną powoje po swoich orbitach
Ich waźki bieg tak wartki że oko nie chwytą
Na śródpiętrzu znakują chabry pracowicie
Na niebiesko promienie harujące w życie
Wyżej długie jak wieczność do kwadratu chwile
Oddają się podniosłym zajęciom motyle
Opodal moja ręka z twoją się związała
Koncertują społecznie na kłósów cymbalach
Jeszcze wyżej donośnie nad wiatru portykami
Trzmiele świat zapoznają z rośniacją wynikiem
A wyżej chorągiewki na prac zbożnych wieży —
Rozwiane ptaki czynią co do nich należy
I tak kusy lan rośnie i w oczach się zmienia
Z pracy istot ziół palców brzęku i promienia
Lecz mrówki zabiegane w dole przy szarówce
Sądzą że lan dojrzewa tylko z pracy mrówczej
I ów rajski a próby najwyższej wiek złoty
To wiek mrówczych perspektyw i mrówczej
roboty

Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...
I mnie ktoś grubo uskrzydłony
Prowadzi wzięwszy pod ramiona.

I mnie Thanatos — kośna dziewczka
Czeka już z czarnej rosy dzbanem.
Spieszę przez długi świat jak śpiewka
Po drodze dawno zapomnianej.

Już z niej od lat w pajęczce przedzę
Wpadła pożądań bestia czarna
I snów tam nie śniąc o potędze
Nie miota w niecnych strzał bóg-harnaś.

Tak. Taki, panie Kazimierzu,
Los: zapomniawszy stu dróg nowy
I sztuk odróżniań róż od perzu
Według cenzurek postępowych

Schodzę, gdy gaśnie zmierzch nade mną
Na stare płótna, stare role —
Jak młodopolak drepczę w ciemność
Z pociesnym Złem i glupim Bolem.

Wymazanie z mapy Polski powiatowej, kojarzącej się z nie najciekawszymi doświadczeniami prowincjonalizmu, aktualizuje pytanie o stan i perspektywę kultury w naszym kraju. Aktualizuje zwłaszcza pytanie o taki jej model, który uwzględniając nowy podział administracyjny, przyczynia się do jeszcze pełniejszego rozwoju duchowego społeczeństwa.

Nie jest to zagadnienie łatwe. A trzeba przy tym pamiętać, że układ przestrzenny kultury, choć nie jest czymś danym raz na zawsze, cechuje duża stabilność. O wiele łatwiej dokonywać przesunięcia na mapie gospodarczej, tworzyć nowe ośrodki przemysłowe niż powoływać do istnienia centra życia artystyczno-naukowego. Poświadczają to choćby dzieje Łodzi, która wyrósłszy na drugie miasto Polski hierarchii kulturalnej nie dorównuje jeszcze znaczenie przecież mniejszemu, ale posiadającemu bogatsze tradycje Krakowowi.

Toteż likwidacja powiatów nie spowoduje automatycznie takich przesunięć w sferze kultury, które zwoiniłyby nas od troski o jej optymalny model w nowych warunkach. Potrzebny jest głęboki namysł i taki wybór koncepcji, który sprawdził się równie dobrze za lat dziesięć jak i za lat pięćdziesiąt.

Professor Aleksander Wallis, który na długo przed reformą administracyjną, bo jeszcze w roku 1967 zastanawiał się nad optymalnym modelem kultury, wyróżnił trzy wykluczające się, z punktu widzenia celu, teoretyczne warianty...

Koncepcja pierwsza przewiduje rozwój jednego tylko ośrodka. Tak pomyślany model przyczynia się do standaryzacji i integracji kultury, co może być niekiedy ważne, ale jednocześnie gubi z pola widzenia wartości, które nie mieszczą się w zunifikowanym systemie.

Koncepcja druga zakłada równomierny rozwój wszystkich ośrodków i rezygnację z wielości ośrodków. Ma ona wiele zalet, ale kryje się w niej także poważne niebezpieczeństwa. Realizowana zbyt rygorystycznie mogłaby się przekształcić w swoje przeciwieństwo. Nadmierne rozpozyszczenie sił i środków prowadzić przecież może do tego, że kultura znajdzie się w zastojach.

Ostatnia wreszcie koncepcja kładzie akcent na tworzeniu ośrodków o zasięgu międzynarodowym. Pozwala to na włączenie narodowego układu kultury w system światowy. Ośrodki wytypowane do tej wymiany wartości, na pewno zyskałyby na znaczeniu. Co jednak stałoby się z tymi, których nie wpisano na tę reprezentacyjną listę?

Są to na szczęście tylko rozważania. Na szczęście, gdyż chyba nigdzie na świecie nie funkcjonuje żaden z przedstawionych tu teoretycznych modeli kultury w czystej postaci. Raczej mamy do czynienia ze swoistą mieszaniną różnych wariantów, choć oczywiście pewne elementy mogą w nich dominować. Tak na przykład nadmierne faworyzowanie stolicy kosztem innych ośrodków jest pochodną pierwszej, teoretycznej przecież koncepcji. W konkretnym modelu kulturalnym nie trudno wskazać elementy użytego doń budżetu. Nie znaczy to jednak, że model taki łatwo jest zbudować, gdyż rozwój kultury zależy od wielu czynników i sterowanie procesami kulturalnymi jest zadaniem wyjątkowo trudnym. Nie można na przykład, na zasadzie dekretu administracyjnego, kreować nowych wartości artystycznych czy odkryć naukowych. Nie znaczy to jednak, że polityka kulturalna nie ma żadnego wpływu na rozwój układu. Jak słusznie zauważa profesor Wallis może ona „być nastawiona na rozbudowę potencjału układu, na ulepszenie struktury ośrodków, na usprawnienie relacji między ośrodkami, na wyrównanie dysproporcji między potencjami ośrodków tego samego szczebla administracyjnego. Może się ona skoncentrować na jednym z wymienionych czynników lub zajmować się każdym z nich. Jak się wyjawia, znaczna część swych zadań polityka kulturalna państwa może rozwiązywać przy pomocy środków alternatywnych”.

Jaka więc, w nowym układzie administracyjnym, powinna być nasza kultura? a ściślej na jaki jej model stać nas już dzisiaj? Czy dążymy do maksymalnego rozwoju każdej gminy? Czy

terytoryalnie najmniejsze. Odległość od metropolii do najdalej położonych obrzeży w żadnym miejscu nie przekracza w zasadzie 30 km. Tak jest w części północnej. W części południowej

że dociera tu miejski autobus. Jest to więc niemal przedmieście, ale jakże w porównaniu ze zwykłym przedmieściem ubogie. Mówią mi: brak zaplecza. Drewniak, w którym przed laty mieścił

pilniejszą potrzebą jest budowa kina. To, które istniało przed kilkoma laty, zostało zamknięte, gdyż groziło zawaleniem. Działo wprawdzie kino zakładowe na terenie jednego z zakładów przemysłowych, ale nie rozwiązuje to sytuacji. W mieście nie ma domu kultury ani żadnych klubów, funkcjonuje tylko świetlica przy straży ogniowej. Jedyne jaskółki poprawy sytuacji jest biblioteka miejska w zabytkowym dworku. Liczy ona 15 tys. tomów, a więc prawie dokładnie tyle, ile jest mieszkańców. Jedna jaskółka nie czyni wiosny, władze miejskie wystąpiły więc o budowę kina i domu kultury, a także klubu. Nie są to żądania wygórowane, czy jednak znajdują się w porflelu realizacji przewidzianych na najbliższą pięcioletkę?

Rzecz nie dotyczy przecież tylko Głowna. Przyjrzyjmy się znacznie większemu ośrodkowi miejskiemu, jakim jest niewątpliwie Ozorków. Działa tu wiele dużych zakładów przemysłowych, z wielkim światłem miasto połączone jest linią tramwajową. Na bazę kulturalną tej dużej, bo blisko dwudziestotysięcznej osady, składa się kino na 330 miejsc, miejska biblioteka licząca 30 tys. woluminów i Ognisko Pracy Pozaszkolnej, które spełnia faktycznie funkcję Domu Kultury Dzieci i Młodzieży. Jest także Międzyzakładowy Dom Kultury, ale to raczej tylko sztył, gdyż w rzeczywistości chodzi o jedną dużą salę, zimną nie opalaną, co znakomicie hamuje jego rozpęd. Dodatkowo komplikuje sytuację także to, że najważniejszy bo najbogatszy mecenas ma siedzibę w Zgierzu, a wszystkim przecież wiadomo, że bliższa ciąża koszula. Referatu kultury, który koordynuje działalność tych wszystkich placówek, nie stać na zbyt wiele w sensie zupełnie dosłownym. Poza środkami na działalność biblioteki jego budżet zamyka się kwotą 25 tys. złotych.

Cóż ma więc robić znacznie jeszcze uboższy od Ozorkowa Parzęczew, który ma kłopoty nawet z budynkami administracyjno-usługowymi? Siedziba urzędu to właściwie barak, a na cianocie i niewygodę narzekają prawie wszyscy. A mimo to w gminie działa niemała, bo licząca 12 tys. tomów biblioteka, istnieje też zbudowany w czynie społecznym Dom Ludowy, który przymierza się do odegrania roli wiejskiego domu kultury. Władze gminne myślą też o przekształceniu lokali, zwolnionych przez czteroklasowe szkoły, w kluby rolnika podobne do tego, który działa w Parzęczewie.

Przykładów tych chyba wystarczy, by zrozumieć, że integracja nowych wiejskich właściciel terenów, z metropolią nie będzie procesem łatwym ani szybkim zwłaszcza w dziedzinie kultury. Przejelłymi bowiem dwa tylko większe ośrodki miejskie: Zgierz i Pabianice, nie potrzebujące natychmiastowej, doraznej pomocy. Gdzie indziej trzeba pomagać, bo nie wystarczy sam entuzjazm miejscowych działaczy, którzy podobnie jak mieszkańcy wiele sobie obiecują po reformie.

W moim odczuciu program na dziś to takie ułatwienia transportowe, aby wszyscy mieszkańcy województwa miejskiego mogli korzystać z placówek kulturalnych Łodzi. Program na jutro: magą jeszcze przemysłu, ale już teraz nie ulega wątpliwości, że trzeba stworzyć wzorzec gminnego ośrodka kultury. Takiego, który zaspokoi potrzeby najprzerwsze. Umożliwi kontakt z książką, filmem, z prelegentem z wielkiego świata. Nie stać nas już, nawet w najbardziej zapadłej wiosce, na alternatywy: gospoda albo zabawa w remizie strażackiej. Głosuję za gminą wyposażoną w podstawowe placówki kulturalne. Niech taka właśnie będzie nasza rzeczywistość gminna. Głosuję także za kulturą szczebla wojewódzkiego. Niech taka będzie nasza krajowa rzeczywistość: dostęp do najwyższych wartości kulturalnych jednakowy dla wszystkich. Już jutro.

KONRAD FREJDLICh

POLSKA GMINNA czy wojewódzka?



może raczej określić niezbędne minimum najmniejszej jednostki administracyjnej w zakresie bazy kulturalnej i ponad nie rozwijać te tylko ośrodki gminne, które już wcześniej przejawiały większą od sąsiadów aktywność?

Nie są to pytania tylko retoryczne, gdyż w istocie odpowiedź na nie sprowadza się do dylematu: jaka Polska w sferze kultury? Wojewódzka czy gminna? Pamiętamy przecież, że wzmożenia potrzebują nie tylko gminy. Cały szereg miast wojewódzkich był do niedawna siedzibą powiatów ze wszystkimi tego konsekwencjami. Oznacza to przecież dysproporcje w porównaniu z ośrodkami, które już dawno należały do wyższego rangą ośrodka administracyjnego.

Nie są to pytania tylko retoryczne, ale nie stać mnie na jednoznaczna, całkowitą odpowiedź. Moja wiedza o stanie kultury sprowadza się przecież do danych statystycznych, a to zbyt krucha materia, aby zbudować z niej całościowy obraz. Zajmę się więc z czułością, którą znam już nie tylko z tabel i wykresów, ale z autopsji. Zajmę się problematyką kultury w łódzkim województwie miejskim.

Kiedy się patrzy na nową mapę kraju rzuca się w oczy, że jest ono tery-

tu sytuacja kształtuje się jeszcze korzystnie.

Ta zwartość terytorialna stanowi specyfikę nowego województwa. Pozwala ona bowiem wszystkie ośrodki gminne włączyć w obieg kultury wyższego szczebla, umożliwia także bezśrednią konsumpcję wartości najważniejszych. Mieszkańcy Aleksandrowa, Konstantynowa czy nawet Głowna już wcześniej zresztą mogli odwiedzać łódzkie teatry, chodzi jednak o to, aby stało się to praktyką codzienną. Potrzebne są więc także rozwiązania komunikacyjne, które ideę bezpośredniego uczestnictwa w kulturze uczynią rzeczywistością realną.

At specyfika nowego województwa sprowadza się także do tego, że na jego obszarze nie znalazło się ani jedno byłe miasto powiatowe. Oznacza to, że w sferze kultury mamy do czynienia już nie z wydrwiwaną tak często przez publiczność „Polską powiatową”, lecz z rzeczywistością siermięzną.

Nietrudno o przykłady. Oto położona w bezpośrednim sąsiedztwie Łodzi gmina Nowosolna. Położona tak blisko,

się klub, został rozebrany, nadawał się bowiem jedynie na opał. Pomieszczenia dla biblioteki dzierżawić trzeba od życzliwego gospodarza. Jest to lokal zupełnie nie przystosowany do tych celów. Nie ma nawet remizy strażackiej która w warunkach wiejskich pełni funkcje wielorakie, często kulturotwórcze. Sala straży, niezła biblioteka i klub „Ruchu” znajdują się dopiero w Lipinach, byłe siedzibie GRN, ale to dla mieszkańców Nowosolnej mała pociecha.

Czy nie myśleli o poprawie sytuacji? Myśleli, jeszcze przed reformą. Kiedy trzeba było rozebrać klub, władze gminy wypowiedziały umowę dzierżawy spółdzielni pracy „Galeria Odzieżowa”. Było to w styczniu 1973 r. W odzyskanym w ten sposób budynku, po niezbędnej adaptacji, chelano ulokować gminny dom kultury. Eksmisja okazała się sprawą trudną, przesądziło ją dopiero orzeczenie komisji arbitrażowej. Zgodnie z nim spółdzielnia powinna zwolnić pomieszczenie do 31 grudnia 1974 roku. Odwiedziłem Nowosolną w sierpniu roku bieżącego. Budynek wciąż jeszcze zajmowany jest przez spółdzielnię.

Oto najdalej wysunięte na północ miasto Głowno. I tu słyszę, że właściciele nie mają się czym chwalić. Naj-

SPRAWY LUDZI

AUTORZY ZWIERZĄT

Ludzie są autorami zwierząt także dlatego, że ludzie napisali wiele książek o zwierzętach, a zwierzęta nie napisały ani jednej książki o ludziach, nie wzięły się do tej roboty pisarskiej nawet delfiny, o których niedawno powiada, że są inteligentniejsze od ludzi. Mam na stole trzy książki o zwierzętach: „Życie zwierząt” czcigodnego Brehma, ostawioną książkę pani Adamson „Moja lwia rodzina” i „Księżę zwierząt” Jean-Pierre Halleta. Czy są to istotnie książki o zwierzętach? Odczytałem je

uważnie — dla mnie książka Brehma jest książką o Brehmie, książka pani Adamson jest książką o pani Adamson, książka Halleta to rzecz o Halletcie. Już w czasie pierwszego czytania podejrzane wydały mi się pasje tych autorów, ich nienawiść, ich sentymenty. Profesorski, stateczny Brehm całą duszą nienawdził wiewiórek i niedźwiedzi — nawołuje tu do rzezi, natomiast jest żarliwym rzecznikiem i wyznawcą hien. Argumentacja negatywna w kwestii wiewiórek i niedźwiedzi jest przedmiotowo równie

niedostateczna jak argumentacja pozytywna w sprawie hien. Co do pani Adamson, to uważa ona swą łwicę za przyjaciółkę, ba, za córkę. Pani Adamson sypia z łwicą, kiedy ta czuje się osamotniona, swata ją, „wydaje za męża”, szukając w tym celu jakiegoś „sympatycznego” lwa. W tym celu pani Adamson jeździ samochodem po buszu wioząc obok „panny na wydaniu” duże porcje mięsa, które mają znieść oblubienca, „przystojnego”, „sympatycznego” według czysto ludzkich kryteriów. Co do Jean-Pierre Halleta, to ten w swej „Księżę zwierząt” pała nienawiścią do lwa. Uważa go za żarłocznego, leniwego włośca, który walęsa się po buszu pasyżując na tym, co upolują łwice. Ze szczególną gwałtowno-

ścią Jean dokonuje detronizacji lwa, królem zwierząt jest lampart i tylko lampart niedostatecznie oceniany, podziwiany, uznany władca. A może by pomyśleć o jakiejś republice zwierząt, czy na początek o radzie regencyjnej? Wszyscy ci autorzy: Brehm, Adamson, Hallet zgromadzili pracowicie wielką liczbę faktów i wszyscy wyciągnęli z tych faktów dziwaczne, wadliwe wnioski, żaden z nich nie uchronił się przed skłonnościami do antropomorfizacji zwierząt. Podobno, jak mówią dobrzy ludzie, trzeba kochać zwierzęta. Cóż to jednak znaczy — czy miłość do zwierzęcia może polegać na utożsamianiu go z człowiekiem? Zwierzęta trzeba lubić, nie wolno być dla nich okrutnym, ale miłowanie i nienawidzenie zwierząt tak

jak ludzie doprowadza do dziwacznej inflacji uczuć. Pamiętajmy, że pomimo pozorów — między człowiekiem a zwierzęciem istnieje odległość większa niż pomiędzy zwierzęciem a rośliną. Podobno niektórzy lekarze psychiatrzy leczący schizofreników cierpią pod wpływem ustawicznych kontaktów z nimi na jakąś pseudoschizofrenię, preschizofrenię. Czy inflacja uczuć jest chorobą zawodową ludzi zajmujących się zwierzętami? Trudno pozbyć się tego uczucia, gdy czytamy słowa nienawiści o nosorożcach i lwach i słowa uwielbienia o lampartach i hienach.

BERNARD SZTAINERT

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Ludwik Świeżawski urodził się 23 sierpnia 1914 roku w Krakowie. Studiował filologię polską i historię na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Jana Kazimierza, zaś historię sztuki i historię teatru w Wiedniu i we Włoszech. Był członkiem grupy literacko-artystycznej „Literat” w Krakowie, a w latach 1937–1938 kierował kabeletem literackim „Selszchapek” mieszcącym się w warszawskiej kawiarni „Sztuka i Moda” (popularnym „SIM-le”). Po wojnie uczestniczył w organizowaniu życia kulturalnego w Zakopanem, na Wybrzeżu i na Dolnym Śląsku, a od roku 1946 w Łodzi, gdzie osiadł na stałe. Tutaj prowadził m.in. „Klub Pickwicka”, kabaret literacki „Dyżurny”, teatr „Na pięterku” oraz Teatr Młodzieżowy. Współpracował z radiem jako autor słuchowisk, przygotowywał również teksty do utworów muzycznych.

Pierwsze, młodzieńcze prace — a były nimi prozatorskie miniatury zamieszczane w prasie krakowskiej w 1928 roku — podpisywał pseudonimem „Jan Koźmierny”. Czterema tomikami wierszy: „Śmiech w zieleni” (1930), „Wozy jadące” (1933), „Hejnał bohaterów” (1937) i „Lutnia Dyniska” (1939) Świeżawski wyrobił sobie w tamtych latach pozycję tzw. obiecującego poety, podzywaną opiniami cenionych komentatorów życia literackiego — Kazimierza Czachowskiego, Stefana Napierskiego, Stanisława Czernika. Rekomendacje te dotyczyły zwłaszcza debiutanckiego zbiorku „Śmiech w zieleni”, za który Czernik gotów był przyznać autorowi pierwsze miejsce „spośród setki prawie poetów uprawiających tematycznie wiosną”. To fakt, że żaden z wymienionych krytyków nie był zoilem (Czachowski to nie Trzykosiński), że z cieprliwą życzliwością promowali oni młodych twórców, asystując regularnie przy literackich iniekcjach kolejnych roczników poetycznych, niemniej pochwały, jakimi obdarzali „Śmiech w zieleni”, nie miały charakteru konwencjonalnego. Rzecz ciekawa, że początkujący poeta otrzymał pozytywne noty, mimo że nie wykroczył w zasadzie poza popularny krag znaczeń, tradycyjnie przypisywany toposowi wiosny. A przecież już niedługo poeta temat ten zwałby w topliw banaju, niektórzy wydosławiali się jakoś z opresji chroniąc się przekomarzaniem, ironią, rewizją i odwracaniem potocznych znaczeń.

Świeżawskiemu obce były te tendencje, bliższa natomiast fascynacja życiem, rozbudzenie zmysłów, potęgowanie siły i skali doznań, zwłaszcza wrozkowych. Sztywne to dzieło kruszące teraz kopie o wartość owej postawy, ale i dziś jeszcze dąboby się na przykładzie kilku zapomnianych wierszy Świeżawskiego pokazać, jak można w utworze poetyckim manewrować impresjami, „robić” światłości, uzyskiwać efekt synchronii wrażeń, wykorzystywać tę szansę artystyczną, jaką daje naruszenie realności, kwestionowanie fizycznej natury bytu. Dalsza twórczość Świeżawskiego usunęła zresztą jego poezję na drugi plan. Autor mniej już czytawość techniki, gdy coraz częściej podejmował tematy okolicznościowe i początkowo (szczególnie w „Hejnalu Bohaterskim” oraz w różnych księgach pamiątkowych, jak np. „Geniusz Niepodległości” — 1933, „Wiek czyn” — 1936).

Po latach okazało się, że główny nurt tego pisarstwa bierze swój początek ze skromnego zbiorku obrazków historycznych „Miejsce bez ojczyzny”, przedzielającego w roku 1936 dwie pary zeszytów poetyckich, wydanych w okresie międzywojennym. Z perspektywy czasu widać też, że opublikowany w 1938 roku tomik wierszy „Sosna Grotgera i Jesień” opatrzony został tytułem-drogowskazem: „Jesień” wskazuje poetycką przeszłość autora (zapoczątkowaną, zgodnie z symboliką pór roku, wielokrotnym opisaniem wiosny), „sosna Grotgera” — przyszłość, czyli cykl powieści biograficznych, które obecnie zdecydowanie dominują w dorobku literackim Świeżawskiego. W okresie wojennym autor bez reszty już poświęcił się popularnej beletryście historycznej oraz prozie młodzieżowej.

Początki tej pracy były skromne. „Miejsce bez ojczyzny” (tytuł książki pochodzi od opowiadań o Gdańsku zmagającym się z pruskim naporem) składa się właściwie ze szkiców do opowiadań, tematy (porwanie i śmierć Gertrudy Komorowskiej, uwiecznione w „Marii” Malczewskiego, występy magika Pinettiego, w nowej redakcji tekstu przypomniane niedawno na naszych łamach) zostały zarysowane bez rozwiniętej fabuły i epickiego poglądnia. Z większym rozmachem napisał Świeżawski swe pierwsze powieści: „Zdobywcy życia” (druk w „Echu Krakowa” w 1947 r.) oraz „Wianki. Powieść o królowej Jadwidze” (fragmenty w prasie tygodniowej w latach 1938–1939, edycja książkowa w 1939 r.), a później szereg pozycji przeznaczonych dla młodego czytelnika: „Leśna przygoda” (1961, drugie wyd. pt. „Sadyba Robinsona” w 1972), „Zaginiona dziewczyna” (1969, drugie — 1973), „O wytrwałym wędrowcu” (1971). Odnotujmy także przekład opo-



wiań Iwana Wasilenki „Węzeł gordyjski” (1950), adaptacje sceniczne „Drewniak” Carlo Goldoniego (1948) i „Trzech pomarańcz” Sergiusza Michalkowa (1949) oraz pozostające w rekopisach sztuki historyczne „Nawojka” i „Pan Twardowski”.

Najpoważniejszym zadaniem twórczym, realizowanym w różnych formach przez kilkadziesiąt lat, jest cykl grotgerowski, którego trzon stanowi trylogia: „Muza laskawa” (1968, drugie — 1972), „Rapsod powstańczy” (1972, drugie — 1974), „Dobry Geniusz” (1975). Pisarz ukończył więc dzieło, nad którym pracował niemal przez całe życie w poczuciu misji, wyniesionym ze swego domu, powiązanym z rodziną Artura Grotgera. Mierzył się z tym tematem po kilkakroć, pisał wiersze o autorze „Lituanii”, w 1947 roku złożył powieści „Dobry Geniusz” (wyróżnioną w konkursie „Naszej Księgarni”, ale nie wydaną; tytuł zaczerpnięty został z listu Grotgera do narzeczonej, Wandy Monné), w 1963 roku wydał „Cień obok światła. Powieść o Arturze Grotgerze”, która w zmienionej postaci weszła w skład wspomnianej trylogii jako tom pierwszy.

Tradycje domu stanowiły bodziec do pracy, a zarazem dawały pisarzowi handicap wiedzy źródłowej nie utraconej, ułatwiały rekonstrukcję biograficznej mozaiki, wypełnienie jej kamyczkami anegdota, realiami środowiska, uwiarogodnienie wątków osobistych. Świeżawski miał zatem z góry lepszy punkt obserwacyjny niż któśkolwiek inny, kto by się tego przedsięwzięcia podjął. Wychował się i wiele lat spędził w Dyniskach (młodość i okres okupacji), w tym samym dworze, w którym przebywał Grotger i „gdzie — jak pisze w ostatnim tomie swego cyklu — jeszcze trwała pamięć i pamiątki, obrazy, książki, meble, las rzeczy i lasy tej ziemi, które otaczały Grotgera, mołch Pradziadków i ludzi tamtych czasów”. Doświadczeń takich nie można od nikogo przejąć, tego typu wiedzy, kto wie czy dla pisarza nie istotniejszej od źródłowej dokumentacji i erudycji, nie można się nauczyć. Z tego surowca Świeżawski uczynił spoiwo fikcji literackiej, która ma zresztą solidne oparcie w kwerendach materiałowych, zarówno jeśli chodzi o świadectwa epoki (listy, pamiętniki, papiery rodzinne i urzędowe), jak również opracowania naukowe. Autor na dwa sposoby: dosłownie i za pośrednictwem źródła przeżył cały szlak grotgerowski, od Ottyniowic na Podolu, gdzie Artur urodził się, do Amélie-les-Bains w Pirenejach, gdzie zmarł.

Trylogia Świeżawskiego, napisana w tradycyjnej konwencji „via romance” obciążona jest bez wątplenia grzechami tego kontrowersyjnego gatunku. Niewolna od uciążliwych, sentymentalnego podejścia do bohaterów i melodramatycznych efektów, może wielu czytelników, bardziej wymagających a przyciągniętych atrakcyjnością tematu i rozmachem, z jakim został opracowany, po prostu razić, zwłaszcza nieobecnością dystansu pisarza wobec przekazów i stylu epoki, brakiem pogłębienia psychologicznego i intelektualnego, jakie postać wybitnego artysty i tragicznego człowieka umożliwiała. Uproszczenia te częściowo tłumaczy emocjonalny stosunek autora do tematu, pietyzm i szacunek dla Grotgera, skłaniające pisarza do posługiwania się takim stylem powieściowym, który by w pierwszym rzędzie stymulował reakcje wzruszeniowe czytelnika. Po części zaś obywatelną się bez bardziej złożonych problemów historycznych i artystycznych stanowiła właściwość całej twórczości Świeżawskiego (pod tym względem „Rapsod powstańczy” nie różni się od przedwojennego „Hejnału Bohaterskiego”), którą cechuje, jak to określiła trafnie jedna z recenzentek, „rzeski optymizm”, nawet gdy traktuje o sprawach bolesnych i tragicznych.

JERZY RZYMOWSKI

SZKOŁA

STANISŁAW BOROWKIN

„...ABY JĘZYK GIĘTKI...”

Autorzy dotychczas obowiązującego w liceach programu języka polskiego stwierdzają, że zadaniem tego przedmiotu jest — między innymi — „kształcenie (...) umiejętności jasnego, poprawnego i estetycznego wypowiadania się w mowie i piśmie”. Umając słuszność tego sformułowania, tym bardziej jesteśmy zaskoczeni rażąca sprzecznością między jego treścią a sprawnością językową naszego społeczeństwa, o której poziomie świadczą takie fakty, jak:

corocznie dokonywana przez uczelniane komisje ocena kandydatów na I rok studiów wyższych, zawierająca niepokojące uwagi o umiejętności formułowania myśli przez osoby podane egzaminowi;

budzące wiele zastrzeżeń co do poprawności językowej nieraz wartościowe pod innymi względami prace przedkładane do publikowania firmom wydawniczym i redakcjom czasopism;

wyręczanie się polonistami — gdy chodzi o napisanie przemówienia, referatu itp. — przez osoby o wysokich kwalifikacjach zawodowych (inżynierów, ekonomistów itp.);

niezręczne lub bezmyślne redagowanie tekstów zarządzeń, zaproszeń, wywieszek, tablic informacyjnych, szyldów, reklam itd.

Owe alarmujące fakty — a rejestr ich można rozszerzyć — uzasadniają konieczność natychmiastowego zreformowania nauczania języka polskiego a w związku z tym — stworzenia takiego programu tego przedmiotu, by dokument ów dawał gwarancję posługiwania się przez następną pokolenia Polaków mową ogólną, którą lepiej, a nie gorzej, niż czyni to nasza generacja.

Nie negując potrzeby doskonalenia nauczania literatury, by na lekcjach wdrożyć młodzież do korzystania z dóbr kultury dawnej i współczesnej, należy postuliować położenie w programie znacznie większego niż dotychczas nacisku na kształtowanie przez szkołę umiejętności językowych.

Uczestnictwo określonej jednostki w życiu kulturalnym wynika z jej decyzji. Od każdego z nas zależy również, kiedy i za jakimi warunkami czytać książki lub zwiedzać muzeum oraz ile na to poświęćmy czasu tak, by starczyło go na właściwe wypełnienie obowiązków zawodowych, rodzinnych, społecznych itd.

Inaczej przedstawia się związek oświaty z językiem. Tu nie ma wyboru. Każdy musi mówić i pisać. Zawsze i wszędzie — a więc jako: lokator (pismo do ADM, niech coś zobowią), bo zaczęli na suflicie, protokolant na zebraniu (zwiąż kio i co powiedziaj, ojciec lub matka (rodzinny wy-

jazd na wesele, a więc wypadła usprawiedliwić nieobecność potomka na lekcjach), osoba dokształcająca się (referat, praca kontrolna), dyskutant (...eee obywatela...eee tego tam...), ktoś, kto ubiega się o pracę (podanie, życiorys), nadawca listu („Ob. Nowak Stanisław” czy „Ob. Stanisław Nowak”?)...

Nowy program winien jednoznacznie określić, że zapoznanie ucznia z zagadnieniami językowymi ma przede wszystkim cel praktyczny (nauczenie umiejętności nienagannego posługiwania się mową ojczystą) a nie poznawczy (przekazywanie wiedzy encyklopedycznej z zakresu gramatyki opisowej, historycznej, dialektologii oraz stylistyki).

Poza tym nowy program ma stawiać szkołę za cel ukształtowanie właściwej postawy wobec języka. Jej przejawem winno być przeświadczenie, że nawet wysokie walory treści wypowiedzi nie rekompensują niedostatków jej formy językowej. Przeciwnie, wszelkie usterek graficzne, gramatyczne, kompozycyjne, ortograficzne i stylistyczne (a w mowie — fonetyczne) obniżają wartość naszych wywodów, czyniąc je mniej przystępnymi dla odbiorcy.

Absolwent szkoły podstawowej lub średniej winien ją opuścić z przekonaniem, że łatwość wyrażania myśli nie warunkuje automatycznie wysokiej jakości wypowiedzi, że mówienia i pisanie nie należy traktować jako czynności spontanicznej.

Pracom nad udoskonaleniem programu winny towarzyszyć poczynania nad kształceniem nauczycieli polonistów, których umiejętność posługiwania się mową ojczystą wiele przedstawia do życzenia.

Dowodzą tego opinie gromadzone przez Ministerstwo Nauki Szkolnictwa Wyższego i Techniki a ogłoszone w kilkunastu rocznikach wydawnictwa „Ocena poziomu przygotowania kandydatów na I rok studiów wyższych dla pracujących zaoicznych i wieczorowych”.

„W wielu uczelniach — czytamy w analizie przebiegu egzaminów w 1970 r. — przygotowanie kandydatów oceniano jako słabe, co jest tym bardziej niepokojące, że większość z nich to nauczyciele, których brak wiadomości ma określone społeczne znaczenie. Napokoi to również dlatego, że większość nauczycieli jest absolwentami SN-ów o kierunku filologii polskiej (...) poziom egzaminów pisemnych był znacznie niższy niż ustnych. Do najczęściej spotykanych mankamentów (...) należały (...) braki w logicznym formułowaniu sądów i myśli (...) wiele trudności mieli też kandy-

dać ze stylistycznym ukształtowaniem wypowiedzi.”

Ograniczono się tu do wyboru cytatów dotyczących tylko jednego roku nie ze względu na to, by dać przejaw skrajności, tendencyjny obraz umiejętności nauczycieli języka polskiego lecz dlatego, że w innych tomach omawianej publikacji powtarzają się podobne opinie tylko inaczej sformułowane. Pokrywają się one z faktami zawartymi w pracy Kazimierza Spornego „Egzamin wstępny na Wyższe Studium Nauczycielskie” (Uniwersytet Łódzki 1970/71 i 1971/72), który cytując sądy egzaminatorów, stwierdza — między innymi — że „prace pisemne świadczą o nieporadności stylistycznej, występują w nich sporo błędów interpunkcyjnych i gramatycznych.”

Świadectwem poziomu umiejętności językowych niektórych polonistów jest również forma odczytów pedagogicznych, tj. prac naświetlanych przez nauczycieli, którzy uczestniczą w ustawicznym konkursie organizowanym przez Instytut Kształcenia Nauczycieli i kuratoria okręgów szkolnych przy Wspólnym Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zawarte w odczytach ciekawe opisy niebanalnie przeprowadzonych lekcji, wartościowe projekty nowych pomocy dydaktycznych, cenne propozycje modyfikacji programu nauczania — słowem, godne uwzględnienia pomysły giną nieraz w gmatwaninie nadmiernie rozbudowanych zdań, w chaosie wadliwej kompozycji, w gąszczu zbędnych słów.

Podane fakty odnoszą się do grupy nauczycieli — mimo wszystko — lepszycich, bo podejmujących samodzielną niełatwą zadanie łączenia do kształcenia się z pracą zawodową (ubieganie się o przyjęcie na studia przed 1971 r., gdy nie obowiązywały tak surowe jak obecnie kryteria oceny działalności kadry oświatowej) oraz starających się pracować niestereotypowo (pisanie odczytów pedagogicznych). Jak mówią i piszą ci pozostali? Ci, którym wystarcza to, co umieją i jak umieją?

Nasuwa się tu postulat wprowadzenia do programu „organizowanego przez Instytut Kształcenia Nauczycieli i jego wojewódzkie oddziały, kursu przygotowawczego dla kandydatów na I rok studiów wyższych oraz studium przedmiotowo-metodycznego, zajęć poświęconych nauczaniu umiejętności formułowania poprawnych wypowiedzi.”

„Ćwiczenia w mówieniu i pisanu” — używając szkolnego nazewnictwa — powinny stać się tak samo ważnym składnikiem programu uniwersyteckiego studiów polonistycznych jak zajęcia z zakresu gramatyki opisowej i historycznej oraz dialektologii języka polskiego.

Wprowadzenie wspomnianych wykładów oraz — przede wszystkim! — ćwiczeń do programów studiów oraz kursów jest celowe nie tylko dlatego, że przyczyni się do poprawy kultury językowej kadry pedagogicznej lecz także ze względu na przysposobienie jej do nauczania języka polskiego tak, by absolwent szkoły podstawowej umiał wyrazić nim „wszystko, co pomyśli głowa” a nie tylko wyrecytować, że „zdanie — to podmiot i orzeczenie i coś tam jeszcze...”.

KSIĄŻKA

SŁODKA „PUŁAPKA”

Książka Edwarda Kopczyńskiego „W pułapce” (Wydawnictwo Łódzkie 1975 r. jest lekturą dla starszej młodzieży. Jest powieścią na średnim i wyrównanym poziomie literackim. To ostatnie trzeba odnotować z przyjemnością, ponieważ zostały z niej usunięte potknięcia warsztatowe widoczne w pierwszej redakcji autorskiej. Drobne uwagi, jakie można by jeszcze wysunąć nie mają większego znaczenia.

Krytyka zawodowa często występuje wobec literatury jako ciałociel z zarzatem, że posiadamy w naszym dorobku „literackie szczyty” i „literackie nizinny”, nie mamy „średka”.

Powieść Kopczyńskiego w swoim, oczywistym, gatunku należy właśnie do tego poszukiwanego „średka” i będzie chętnie czytana przez młodzież z kilku względów.

Przede wszystkim brakuje nam literatury współczesnej dla nastolatków i trochę wyżej. W powieści Edwarda Kopczyńskiego młodzi ludzie znajdują to, co lubią i co ich dzisiaj absorbuje — przyrodę, kawałek lasu, jeziora, polowanie, rybołówstwo, a więc to, co daje człowiekowi współczesnemu — spełnieniem wysoką cywilizacja techniczna — poczucie swobody. Rozwój turystyki w ogóle, zwłaszcza turystyki młodzieżowej nie jest przecież niczym innym, jak wyrazem tej właśnie tęsknoty, jak leżarkiem i odczynieniem na nasze stalowe-kamienne miasta więźowców.

stają przed wyborem towarzyszkę, lub towarzysza życia, robi to zgodnie z popularnym porzekadłem „osiłkowi w żłobie dano, w jednym owies, w drugim siano”.

Być może tu również należałoby doszukiwać się fiaska wielu młodych małżeństw, albowiem już babcie nam mawiały, że wiązać swoje życie z drugim człowiekiem trzeba wiedzieć na pewno, czy to jest ta dziewczyna, albo ten chłopak.

Gzegorz — bohater Kopczyńskiego — zachowuje się tak bardzo typowo, że to powinno służyć do refleksji młodym czytelnikom, wszyscy bowiem „młodzi i starzy” marzymy i zawsze będziemy marzyć o miłości wielkiej, wybranej, jednej. I dobrze, że marzymy, ponieważ jest to jedno z marzeń wartych życia.

Kopczyński zaprawił swoją książkę w miarę sensacją, w miarę morałem, a już las i jego sprawy zna i czuje autor naprawdę.

Ma ta książka również dość rzadką w naszej produkcji literackiej dla starszej młodzieży zaletę. Jej główny bohater jest po prostu leśniczym. I o zgrozo, Grzegorz, na swoim szczeblu drabiny społecznej jest szczęśliwy, zadowolony z wyboru zawodu i z siebie. Mimo przytomności umysłu Grzegorza i jego realistycznego spojrzenia na świat, autor nie ustrzegł się od propozycji wyższych studiów złożonej swemu bohaterowi i swoim czytelnikom.

W niedalekiej przyszłości tak właśnie się stanie, każdy człowiek będzie po-

siadal wyższe wykształcenie. Wówczas jednak będziemy mieli fachowców ze studiami na każdym stanowisku. Na razie jednak często tak bywa, że młodzi ludzie lekceważą fach dla bliżej nie sprecyzowanych ambicji. Dla papierka, dla tytułu. Rezygnują z pozycji, a w zawodzie dla prestiżu magistra, nie mając żadnych szans na zostanie asem — magistrum.

Tę sztampę, to powielanie mechanizmów wzorca wychowawczego mamy autorowi za złe, ponieważ tak pięknie zaczynał, a skończył współczesnym banałem.

Te refleksje nasuwają się same na marginesie lektury „Pułapki” — może dlatego, że ta książka chciała być i miała być bezprezycyjna, autor zaś nie do końca wytrzymał w swym chwalebnym zamiarze przecielenia nieprzetartych szlaków. Te szlaki prostoty znalaz już literatura innych epok, nam jednak potrzeba naszej literatury, dobrej literatury, książek prostych i zwyczajnych, ale takich, które odwołują się do serc i umysłów młodzieży. Chyba młodzież potrzebuje ich bardziej, więcej, niż ludzie dorośli. I niech ktoś nie mówi, że to jest zanizanie wymagań w stosunku do literatury, albo obniżanie kryteriów oceny dzieł literackich. W prostocie wytknie najtrudniej osiągnąć zamierzony efekt. Często droższy efekt jest takim efektem.

Jeszcze jedna uwaga, chyba tytuł tej książki jest niefortunny. Rzadko można przeczytać coś bardziej optymistycznego i pogodnego niż owa „pułapka”. Grzegorz. Bo chyba każdy Grzegorz zgodziłby się na dwie piękne, wyształcone dziewczyny „pod ręką”, perspektywę studiów i odnalezienie ojca z austriackim.

BARBARA NAWROCKA-DONSKA

U PRZYJACIOŁ

Ostatnie Plenum KC KPZR podjęło uchwałę o socjalistycznym współzawodnictwie dla ucieczenia XXV Zjazdu Partii.

40 lat temu, w nocy z 30 na 31 sierpnia, rebase donieckiej kopalni Centralna-Irmino — Aleksiej Stachanow ustanowił wybitny rekord.

„Historyczna rola ruchu stachanowskiego — stwierdza na łamach czasopisma „Komunist” M. Wallow — polegała na tym, że był on zorientowany na opisanie nowej techniki, nowej organizacji pracy opartej na racjonalizacji procesów technologicznych.

W bieżącej pięcioletniej ważnej formie działań o najpełniejsze wykorzystanie możliwości produkcyjnych stały się kontry plany.

Jedną z charakterystycznych cech obecnego współzawodnictwa jest przodowanie form zespołowych, przy dużej różnorodności współzawodnictwa o charakterze indywidualnym.

W pierwszych dniach września mija 30 rocznica przeprowadzenia na terytorium NRD, demokratycznej reformy rolnej, która ostatecznie zlikwidowała wielkie posiadłości ziemskie junkrów, militarystów i przestępców wojennych.

W wyniku reformy rolnej prawie 3/4 ogólnej powierzchni ziemi uprawnej w NRD znalazło się w rękach pracujących chłopów.

W roku 1952 II Konferencja Partijna SED podjęła historyczną uchwałę o przeobrażeniu — w miarę powstawania odpowiednich warunków i potrzeb — od gospodarki indywidualnej do kolektywnej, spółdzielczych form gospodarowania.

Proces dobrowolnego łączenia się rolników w spółdzielnie produkcyjne zakończył się w roku 1960, tworząc tym samym trwałe podstawy gospodarki socjalistycznej na wsi.

Dziś rolnictwo NRD należy do przedłużających w Europie, o stałych tendencjach wzrostu plonów i wydajności pracy.

Przed krajami EWG stoją wciąż nowe i skomplikowane ekonomiczne i polityczne problemy które rodzi Wspólny Rynek.

Tak czy inaczej, czy Wspólny Rynek będzie istnieć czy nie, odpowiedź na to pytanie byłaby jednocześnie próbą analizy czym jest dziś Zachodnia Europa, a raczej czym nie jest.

Co się zaś tyczy 200 milionów pozostałych Europejczyków, to rozpad Wspólnego Rynku nie wywrze istotniejszego wpływu na warunki ich życia.

Należałoby tylko jeszcze udowodnić, że kraje EWG zawiądująca ów wzrost Wspólnemu Rynekowi. Oczywiście, globalny produkt narodowy

„szóstki” (do czasu przystąpienia do EWG Anglii, Danii i Irlandii) zwiększył się szybciej niż w Anglii, kiedy nie była ona jeszcze członkiem EWG.

W każdym razie kraje zachodnioeuropejskie wcale nie muszą oczekiwać rozpadu Wspólnego Rynku, żeby znaleźć się w kleszczach ekonomicznego kryzysu.

CZYM NIE JEST ZACHODNIA EUROPA

Znakomitym przykładem są Włochy. Przypomnijmy 1965 rok. Włoskie lodówki i pralki zalewały Europę.

Niektórzy eksperci uważają, że rozpad Wspólnego Rynku doprowadziłby do „rozdrobnienia europejskiej przestrzeni ekonomicznej”.

Należałoby tylko jeszcze udowodnić, że kraje EWG zawiądująca ów wzrost Wspólnemu Rynekowi. Oczywiście, globalny produkt narodowy

na jest jedyną sferą, w której krajom Wspólnego Rynku udało się wypracować jakąś wspólną politykę.

Można by twierdzić, iż koniec „zielonej Europy” wywoła zdecydowany protest rolników krajów Wspólnego Rynku. Jednakże i tutaj przedstawiciele tylko kilku sektorów mogłyby wyrazić swoje niezadowolenie.

Jeśli chodzi o inne gospodarstwa chłopskie, a głównie szerokie masy hodowców bydła, to ich sytuacja była zawsze niepewna.

W ostatecznym rozrachunku największe niezadowolenie wyrażaliby liderzy wielonarodowych kompanii. Niewielkie firmy zachodnioeuropejskie są zbyt słabo wyposażone.

Jak wiadomo, towary mogą stonkunkowo swobodnie przepływać z kraju do kraju Wspólnego Rynku, ale tylko wielkie kompanie są w

stanie sprzedawać i coraz więcej produkować w wielu krajach. W obecnych warunkach wielonarodowe kompanie mają możliwości — drogą nieskomplikowanych kombinacji — płaćenia podatków w krajach.

Jednakże wielonarodowe kompanie nie zbankrutują, jeżeli nawet nie będzie Wspólnego Rynku.

Struktura cen w krajach Wspólnego Rynku jest daleka od zgodnej harmonii, chociaż minęło już dziesięć lat od zniesienia opłat celnych.

W mechanizmie międzynarodowego handlu bariery celne nie odgrywają dziś większej roli.

Tak więc odrzucenie idei budowy „zjednoczonej Europy” dotknęłyby tylko trochę wielkich firm i handlowców.

Koniec tygodnia przyniósł także zamach stanu w Peru. Dokonały go siły zbrojne — jak czytamy w ogłoszonym manifestie — „w celu wyeliminowania kultu jednostki i odchylenia w procesie rewolucyjnym”.

Innym tematem tygodnia są zmiany rządowe w Portugalii. Nowym premierem rządu został admirał de Azevedo — dotychczasowy szef sztabu generalnego marynarki wojennej.

Przedłużający się kryzys polityczny w Portugalii, jak pisaliśmy już na tym miejscu, stwarza realne niebezpieczeństwo.

Przebieg aktualności międzynarodowych zakończony przypomnieniem, że na Bliskim Wschodzie trwa misja Kissingera — prowadzi on rozmowy w Egipcie i Izraelu.

Przebieg aktualności międzynarodowych zakończony przypomnieniem, że na Bliskim Wschodzie trwa misja Kissingera — prowadzi on rozmowy w Egipcie i Izraelu.

JERZY CZECH

SPECJALNA SESJA ZGROMADZENIA OGÓLNEGO ONZ ZMIANY RZĄDÓW W PORTUGALII ZAMACH STANU W PERU

Państwa niezaangażowane odgrywają we współczesnym świecie ważną rolę. Jest więc zrozumiałe, że obrady tego reprezentatywnego forum — prawie 80 krajów — wzbudziły u nasadzie zainteresowanie.

Głównym przedmiotem zainteresowania były zagadnienia gospodarcze — sytuacja krajów tzw. trzeciego świata (o czym jeszcze za chwilę), ale wiele uwagi poświęcono także problemowi bliskowschodniemu.

Jednakże bezpośrednim powodem zebrania się ministrów były przygotowania do właśnie rozpoczętej kolejnej specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Przedłużający się kryzys polityczny w Portugalii, jak pisaliśmy już na tym miejscu, stwarza realne niebezpieczeństwo.

W komentarzach propozycji tej poświęca się wiele uwagi. Podkreśla się, że sugestie partii komunistycznej wynikają nie z jej słabości, lecz z rozsadku i poczucia odpowiedzialności za losy kraju i rewolucji.

Zmierzają do przebudowy stosunków międzynarodowych: zastąpienia starych zasad z epoki kolonializmu

— nowymi oraz zapewnienia im niezbędnej pomocy, która pozwoliłaby wyjść z wiekowych często opóźnień.

Przedłużający się kryzys polityczny w Portugalii, jak pisaliśmy już na tym miejscu, stwarza realne niebezpieczeństwo.

W komentarzach propozycji tej poświęca się wiele uwagi. Podkreśla się, że sugestie partii komunistycznej wynikają nie z jej słabości, lecz z rozsadku i poczucia odpowiedzialności za losy kraju i rewolucji.

Zmierzają do przebudowy stosunków międzynarodowych: zastąpienia starych zasad z epoki kolonializmu

Przebieg aktualności międzynarodowych zakończony przypomnieniem, że na Bliskim Wschodzie trwa misja Kissingera — prowadzi on rozmowy w Egipcie i Izraelu.

Przebieg aktualności międzynarodowych zakończony przypomnieniem, że na Bliskim Wschodzie trwa misja Kissingera — prowadzi on rozmowy w Egipcie i Izraelu.

Przebieg aktualności międzynarodowych zakończony przypomnieniem, że na Bliskim Wschodzie trwa misja Kissingera — prowadzi on rozmowy w Egipcie i Izraelu.

Przebieg aktualności międzynarodowych zakończony przypomnieniem, że na Bliskim Wschodzie trwa misja Kissingera — prowadzi on rozmowy w Egipcie i Izraelu.

WITOLD SŁAWSKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

POCHWAŁA GRY

„OKO” — to tytuł książki (albu? czasopisma? almanachu?) pod redakcją Lecha Pijanowskiego, książki mówiącej o obyczajach kulturze i osobliwych. Oczywiście te trzy hasła są na tyle pojemne, że można pod nie podłożyć wszystko. Można z tych hasła ułożyć nudną chałę pseudonaukową, można z nich złożyć hermetyczny tom esejów dla specjalistów...

A można także zrobić książkę wspaniałą, przynajmniej barwny film rysunkowy. O ciekawostkach, kuriozach, sensacjach. I to jest właśnie taka książka.

Lech Pijanowski szanował i rozumiał kolekcjonerów, bo i sam był wytrawnym zbieraczem. Dlatego napisał: „Każdy zbiór jednorodny i dostatecznie wielki ma, a w każdym razie może mieć istotną wartość naukową. Nie trzeba patrzeć z politowaniem na zbieraczy i maniaków, bo wystawiamy sobie tym tylko świadectwo małej wyobraźni. Oni mają większą — wiedzą, że losy na loterii i bilety wizytowe, puźniczek i grzebienie, lalki i żołnierzyki z cyny też mówią o ludziach, o ich życiu, upodobaniach i gustach, potrzebach i umie-

jętnościach. Doprawdy nie ca ludzkie nie jest obce zbieraczom. I umieją oni, co by się wszystkim przydało — godzić co dzień i stale żarliwą ciekawością z wielką cierpliwością”.

Piękne słowa i jakże prawdziwe. Jest w nich cała synteza zbieractwa, cała ideologia kolekcjonerstwa. Bo przecież tak jest! Z książki telefonicznej Warszawy czy Łodzi z roku 1939 można dziś czytać lekcje historii. Z biletu na dylżans czytać także możemy dzieje komunikacji... A jest tak! Bilet z książki Pijanowskiego. „Pocztę Wozowa — trakt z Warszawy do Berlina — Kwit osobowy na miejsce w Delizansie pod liczbą 6”... Oczywiście bilet nie przypomina wcale biletu — wygląda jak ozdobny dyplom. Albo piękne kolorowe pocztówki, dziś na pewno tracące na wartość symboliczną scen, jakie przedstawiają, ale to także dokumenty historii.

Lech Pijanowski nie żyje — ta piękna książka ukazała się już po śmierci autora. W audycjach telewizyjnych zastąpił znawcę historii gier — Jego syn. Ale Lech Pijanowski pozostawił po sobie książkę mówiącą o sprawach pozornie marginesowych, o po-

dróżach w krainie gier, o szachach, kartach, planszach, zabawkach... Tylko, że to wcale nie jest margines naszego życia. O grach pisze już Herodot, dziecięce grzechotki znajdują archeolodzy w wykopaliskach, różnego rodzaju gry znała już cywilizacja Azteków...

A Johan Huizinga napisał w „Homo Ludens” słowa: „gra jest starsza od kultury”. I to też jest prawda.

A zatem Lech Pijanowski poświęcił poważną część swego pisarskiego życia sprawom zbieractwa — jest także grą — grą w przedmioty obecne w życiu każdego człowieka.

Tej pięknej książki nie da się opisać, nie da się opowiedzieć, bo jest to — jak powiedziałem — film rysunkowy, galeria sztuki, klaser zbieracza, ilustrowana encyklopedia, zbiór esejów i antologia — jednocześnie.

Z przyjemnością natomiast mogę odnotować, że jest w księdze zredagowanej przez Lecha Pijanowskiego piękny szkic Janusza Dunina (autora prezentowanego w „Odgłosach” „Papierowego bandy-

ty”). Oczywiście Dunin pisze o tym, co interesuje go od lat, pisze o „Romansach, które chodziły kuchennymi schodami”. I jest przeuroczy, w osobliwym stylu fragment powieści zeszytowej z roku 1910. Już sam tytuł wstrząsa: „Wśród wariatów! Niewinnie do domu oblakanych wtrąceno czyli Upiór zamku Sokolskich”.

I jest opowieść o skarbach na strychu, jest historia... okularów, jest słownik nonsensów... Na przykład Ernest Rutherford — laureat Nagrody Nobla, wybitny atomista, powiadał w roku 1937: „Każdy kto wierzy, że z atomu da się wytworzyć energię, jest lunatykiem”. A El Greco powiadał w roku 1612 o Michał Aniele: „Nie, malować to on nie umie”.

Książka Lecha Pijanowskiego jest pochwałą gry i zbieractwa. Jest także — a może przede wszystkim — pochwałą sceptycyzmu, racjonalizmu i względności pojęć tego świata. Choć jest to książka pozornie do oglądania — uczy zdrowego rozsądku.

WIDOK

FILM

ANDRZEJ WAJDA STAWIA DO KĄTA

W lipcowym numerze miesięcznika „Kino” opublikowano artykuł Andrzeja Wajdy pod zwięzłym tytułem „Kogo posłać do kąta?”. Wprawdzie Andrzej Wajda adresuje ten tekst przede wszystkim do młodych reżyserów, ale przecież sprawy polskiego filmu współczesnego interesują wszystkich. Z tego też względu przedstawiamy obszerny fragment artykułu Andrzeja Wajdy.

„Chciałbym się zastanowić nad moimi młodszyimi kolegami i nad przyczynami słabości, które z taką regularnością powtarzają się w ich filmach. Nie sadzę, aby tylko oni byli za to odpowiedzialni. Wychowano ich w przekonaniu, że za mocy samego tylko ukończenia szkoły są artystami i że państwo ma obowiązek płacić za ich filmy. Powstał tu pewien paradoks, mianowicie mecenat państwowy sankcjonuje film jako „sztukę”, a to z kolei sprawia, że wszystkie „artystyczne”, kapryśne, nieobliczalne uzyskuje szanse. Tymczasem prymitywny kapitalizm, traktujący film jako towar i chcący wyciągnąć jak największe zyski, tworzy film społeczny, film demokratyczny i popularny, film demokracjonalny i popularny, film demokracjonalny i popularny, film demokracjonalny i popularny...

Może niewłaściwie rozwiązujemy sprawę dopływu do zawodu: trzeba by zainteresować się młodzieżą, która po prostu chce robić filmy, trzeba jej stworzyć warunki. Do szkoły filmowej zawsze przechodzili chłopcy, którzy wiedzieli co to impresjonizm, ekspresjonizm, umieli pisać na maszynie, znali język. I przewodził im chłopcy ze wsi, którzy też wszystko nie znali i nie mogli za tamnymi nadażyć. Niedyś nie udawało się im przebić. Jeżeli taki chłopiec nawet pomysłowo zdał egzamin wstępny, zawsze znalazło się tysiąc sposobów, żeby się go potem pozbawić. Pamiętam, był w szkole student — murarz z zawodu. W czasie mezo krótkiego — pedagogicznego kontaktu ze szkołą obserwowałem go, widziałem jak za pomocą nie więcej niż trzech słów wyrażerował bardzo niekłą scenę. Była to scena z murarzem i więcej słów nie było mu potrzebne. Był innym człowiekiem

W lipcowym numerze miesięcznika „Kino” opublikowano artykuł Andrzeja Wajdy pod zwięzłym tytułem „Kogo posłać do kąta?”. Wprawdzie Andrzej Wajda adresuje ten tekst przede wszystkim do młodych reżyserów, ale przecież sprawy polskiego filmu współczesnego interesują wszystkich. Z tego też względu przedstawiamy obszerny fragment artykułu Andrzeja Wajdy.

„Chciałbym się zastanowić nad moimi młodszyimi kolegami i nad przyczynami słabości, które z taką regularnością powtarzają się w ich filmach. Nie sadzę, aby tylko oni byli za to odpowiedzialni. Wychowano ich w przekonaniu, że za mocy samego tylko ukończenia szkoły są artystami i że państwo ma obowiązek płacić za ich filmy. Powstał tu pewien paradoks, mianowicie mecenat państwowy sankcjonuje film jako „sztukę”, a to z kolei sprawia, że wszystkie „artystyczne”, kapryśne, nieobliczalne uzyskuje szanse. Tymczasem prymitywny kapitalizm, traktujący film jako towar i chcący wyciągnąć jak największe zyski, tworzy film społeczny, film demokratyczny i popularny, film demokracjonalny i popularny, film demokracjonalny i popularny, film demokracjonalny i popularny...

Może niewłaściwie rozwiązujemy sprawę dopływu do zawodu: trzeba by zainteresować się młodzieżą, która po prostu chce robić filmy, trzeba jej stworzyć warunki. Do szkoły filmowej zawsze przechodzili chłopcy, którzy wiedzieli co to impresjonizm, ekspresjonizm, umieli pisać na maszynie, znali język. I przewodził im chłopcy ze wsi, którzy też wszystko nie znali i nie mogli za tamnymi nadażyć. Niedyś nie udawało się im przebić. Jeżeli taki chłopiec nawet pomysłowo zdał egzamin wstępny, zawsze znalazło się tysiąc sposobów, żeby się go potem pozbawić. Pamiętam, był w szkole student — murarz z zawodu. W czasie mezo krótkiego — pedagogicznego kontaktu ze szkołą obserwowałem go, widziałem jak za pomocą nie więcej niż trzech słów wyrażerował bardzo niekłą scenę. Była to scena z murarzem i więcej słów nie było mu potrzebne. Był innym człowiekiem

szkole. Rezultat jest taki, że na to, co w szkole można by osiągnąć małym kosztem, wydaje się ogromne sumy w produkcji profesjonalnej, ryzykując ponad wszelki rozsądek.

Oglądałmy parę lat temu studenckie filmy, które ukazywały Łódź — zaniedbaną, niedźwiałą, straszna. Łódź prawdziwa, miasto do niedawna pomijane na mapach rozbudowy, zle zapoatrzone, z okropnymi fabrykami, jakich nie ma już nigdzie w Europie. Przecież dopiero trzy czy cztery lata temu zapalili się dla Łodzi pierwsze światła, miasto dostało nareszcie ogromne fundusze na modernizację. Toż od ruch młodych ludzi, którzy wówczas krytykowali istniejący stan rzeczy, był prawidłowy i dowodził, że mają serca, mają sumienie, umieją patrzeć i zauważać. Jeżeli chemcy, by byli ludźmi, którzy współodpowiadają za to, co się dzieje w kraju, muszą mieć sumienie. Ci, którzy umie- li zareagować, okazali się lepszymi artystami i... czystszyimi ludźmi. Gdyby więc ten kierunek prac studenckich został zahamowany, łatwo można odgadnąć skutki takiej decyzji.

(...) Młodzi ludzie kończą szkołę z przekonaniem, że są artystami i nie są winni niczego nikomu poza sobą. Uwierzili w to, w co wierzą u nas wszyscy, mianowicie, że każdy pisarz jest wielkim pisarzem, każdy kompozytor wielkim kompozytorem, każdy reżyser wielkim reżyserem, artysta prawdziwym. To jest ustalono raz na zawsze, inaczey niż na świecie, gdzie trzeba sobie zdobywać pozycję każdym kolejnym utworem. Przyszły reżyser uważa, że umie zrobić film, tylko jeszcze nie znalazł odpowiedniego tematu; kiedy go znajdzie, ośmi wszystkie sprawy, że nie jest w stanie wyrazić swoich myśli, opowiedzieć najprostszej anegdoty. A to by u anegdoty nosła jakąś treść, jakąś emocję, by jego film mógł wywołać emocję u widza, jest zupełnie poza zasięgiem jego możliwości. Dlatego powstają filmy bez adresata, nie wiadomo dla kogo, po co i o czym. Nasz realizator nie zastanawia się, kto będzie jego odbiorcą, nie stara się przemawiać do całego społeczeństwa.

(...) Nieszczęściem naszego kina jest nadmiar nikomu niepotrzebnej tandety, okropny zakalec, jaki zalega pomiędzy filmami niezwykłymi i wartościowymi a filmami, które choć nieudane, zasługują z pewnych powodów na uwagę. Jednych i drugich jest o wiele za mało w stosunku do mierności, dla których

PRZEMIANY



Czas, w którym żyjemy, zwykły nazywają rewolucyjnym. Rewolucja naukowa, techniczna. Co to jednak jest rewolucja naukowa-techniczna, jakie są jej cechy charakterystyczne? Na te pytania odpowiada N. Markow, wydana przez „Książkę i Wiedzę” w serii „Ideologia a współczesność”. Zawiera ona analizy, perspektywy i skutki rewolucji naukowej-technicznej.

Czytelnik znajdzie w niej wiele interesujących problemów, związanych z rewolucją naukowo-techniczną. A więc nie tylko charakterystykę okresu, który zwykliśmy tak nazywać, ale też jej związki z poszczególnymi dziedzinami życia, nauką, produkcją, techniką, technologią. A co jest bardzo istotne, książka zawiera sporo uwagi i refleksji poświęconych społecznemu następstwu rewolucji naukowej-technicznej. I tak można w niej znaleźć uwagi o zmianie roli i miejsca człowieka w procesie wytwórczym, uwagi o intelektualizacji pracy fizycznej, o wpływie na życie automatyzacji i mechanizacji pracy, a wreszcie uwagi o wpływie rewolucji naukowej-technicznej na strukturę społeczną klasy robotniczej.

N. Markow — „Rewolucja naukowo-techniczna”, „Książka i Wiedza”, tłumaczył Jeremi Głiszczyński, str. 286, cena: zł 25,-

EKRANIZOWANY DOKUMENT

Wszyscy dokładnie zapewne pamiętamy widok telewizyjny Ryszarda Freleka i Włodzimierza T. Kowalskiego „Sprawa polska 1944”. Obecnie „Książka i Wiedza” wydała scenariusz tego widowiska.

Powstało ono w oparciu o liczne dokumenty, relacje naczynych świadków i uczestników wydarzeń ostatniego etapu drugiej wojny światowej, kiedy to rozstrzygały się losy przyszłości Polski. Rozstrzygały się one nie tylko na polach bitew drugiej wojny światowej, gdzie udział brali polscy żołnierze, ale też w gabinetach dyplomatów i polityków, przy stołach konferencyjnych. „Sprawa polska 1944” jest obrazowym przedstawieniem tej drugiej perspektywy.

Niektórzy zastanawiają się nad sensownością publikacji scenariusza. Wydaje się, że w wypadku „Sprawy polskiej 1944” spor ten nie powinien mieć miejsca, o ile w ogóle ma on jakikolwiek sens. „Sprawa polska 1944” jest książką, po którą warto sięgnąć, którą warto mieć w swojej bibliotece, a która szczególnie zalecałbym młodym czytelnikom, aby mogli porozwagać nad niedawną przeszłością nie tylko Europy, a Polski w szczególności.

Ryszard Frelek, Włodzimierz T. Kowalski — „Sprawa polska 1944”, „Książka i Wiedza”, Warszawa 1973, str. 213, cena: zł 20,-

PORADNIK WYNAJAZCY?

Dążenie do poszukiwania coraz to nowych rozwiązań wynika nie tylko z aktualnych potrzeb, ale jest niezmienną cechą natury ludzkiej. Jest to bardzo pożyteczna cecha. Jednakże prawem ludzi jest błądzić, a szukanie nowych rozwiązań jest — jak do tej pory wskazuje praktyka — nieustannym błędzeniem. Czy można postępować inaczej? Czy można opracować metodę szukania igły w stogu siana?

Na te pytania stara się odpowiedzieć radziecki teoretyk i praktyk wynalazczości, autor wielu książek na temat metodyki pracy wynalazczej — Henryk Aitshuller. „Wiedza Powszechna” w serii „Omega” przynosi jego nową książkę „Algoryzm wynalazczy”. W książce tej autor próbuje dać zalecenia, określające treść i kolejność operacji myślowych, które powinny doprowadzić do pozytywnego rozwiązania. Autor sugeruje też, że istnieje możliwość posługiwania się przez wynalazców komputerami, które będą im pomagały, biorąc na siebie najczarniejszą robotę.

Algoryzm — to właśnie zespół operacji, zasad logicznych, których ścisłe i konsekwentne przestrzeganie powinno dać w rezultacie nowy wynalazek. Autor rozważa swoje oparł na bogatym materiale przekładowym. „Algoryzm wynalazczy” jest książką nie tylko dla racjonalizatorów i wynalazców, ale dla wszystkich, którzy żywo interesują się problemami współczesnej techniki i rozwoju naszej cywilizacji.

Henryk Aitshuller — „Algoryzm wynalazczy”, „Wiedza Powszechna”, Warszawa 1973, str. 269, cena: zł 20,-

STANISŁAW LEM I LITERATURA

„Książka — to przynajmniej się Stanisław Lem przed czytelnikami — jest drugim moim — po „Summie technologicznej” — nierozłącznym przedsięwzięciem. Nierozłącznym obu w tym, że są — czy też pragną być — próbami „ogólnej teorii wszystkiego”, jak się wyraził jeden ze znakomitszych moich przyjaciół. Gdyż w „Summie” nie tyle sama porządkowa wyodrębniona technologia, jest przedmiotem rozważań, ile daleko ona względnie jednolite stanowisko, z którego można podążać ku „wszystkiemu”; a w tej książce stanowisko takie wyznacza sprawa literatury.

Książka ta — to, zdaniem autora, zbiór wstępów do teorii literatury, traktujących przedmiot zainteresowania z punktu widzenia socjologii, logiki, informatyki. Ale zastrzeżenia autora są niepotrzebne. Takie „nieszacjonalizacyjne” podejście do literatury, potraktowanie jej z różnych punktów widzenia spotkało się z zainteresowaniem czytelników.

„Filozofia przypadku” nie jest książką łatwą, ale jest niezwykle interesująca. Autor „Filozofii przypadku” — stwierdził Janusz Sławiński — rozwija w gruncie rzeczy jedną tylko tezę teoretyczno-literacką. Przekazuje ją w różnych wersjach i w różnym uwikłaniu kontekstowym, stawiając przy tym na nowo dziesiątki problemów pochodnych. I w tym cały urok tej książki, jeśli to można mówić o uroku.

Stanisław Lem — „Filozofia przypadku”, tom I, II, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, str. Tom I 288, tom II 417, cena: zł 19,-

SZUKANIE SKUTECZNYCH METOD

Propaganda trwa w ciągłym poszukiwaniu skutecznych środków oddziaływania. Stanisław Kwiatkowski w książce „Słowo i emocje w propagandzie” podpowiada jeden ze środków, tradycyjny, a ciągle jeszcze nie zawsze najmiejniej wykorzystywany: słowo.

Problem wykorzystywania słowa w propagandzie jest niezwykle szeroki i dlatego autor wybrał tylko te zagadnienia, które wiążą się ze słowem jako środkiem oddziaływania emocjonalnego w procesie komunikowania na użytek propagandy.

Książka Stanisława Kwiatkowskiego niewątpliwie zainteresuje nie tylko pracownikowi propagandy.

Stanisław Kwiatkowski — „Słowo i emocje w propagandzie”, „Książka i Wiedza”, str. 262, cena: zł 27,-

JAK UCZYĆ?

Uczenie się, nauczanie odgrywa w życiu społecznym, w życiu człowieka ogromną rolę. Ludzie mówią: „człowiek uczy się całe życie”. Jest w tym niewątpliwie prawda, ale ludzi też ciągle nurtuje pytanie: jak uczyć, czego uczyć?

Wiadomo, że celem nauczania jest wykształcenie samodzielnie myślącego człowieka. Ale jak to zrobić? Wiele już zmudnie przygotowywanych programów spoceło w lamusach. Poszukiwania trwają. Jedną z propozycji prezentuje Jerôme S. Bruner. Za wart ją w książce „W poszukiwaniu teorii nauczania”. Książka ta zrodziła się z potrzeby, obserwacji i dyskusji. Znajdzie ona uznanie nie tylko u tych, którzy zawodowo interesują się nauczaniem.

L. W.

Jerôme S. Bruner — „W poszukiwaniu teorii nauczania”, PIW, str. 232, cena: zł 25,-

BOGDA MADEJ

VJ-23X z Lamethy wpatrywał się przez chwilę w czelność trójwymiarowej mapy Galaktyki, sporządzonej w mikroskali, a potem powiedział: - Ciekawe, czy my nie jesteśmy śmiešní z tym naszym zainteresowaniem materią. MQ-17J z Nierona potrzaskał głową. - Myślę, że nie. Wiesz przecież, że przy obecnym tempie ekspansji, Galaktyka zapełni się w ciągu pięciu lat... Obaj wyglądali najwyżej na jakieś dwadzieścia lat. Byli wysocy i idealnie zbudowani. - Mimo to - odezwał się VJ-23X - waha się jeszcze, czy przedstawić tak pesymistyczny raport Radzie Galaktycznej. - Nawet bym się nie zastanawiał nad tonem raportu. Wstrząśnij nimi trochę. To im dobrze zrobi. VJ-23X weszchnął. - Ale Kosmos jest nieskończony! Czekaj na nas sto bilionów galaktyk. Więcej nawet! - Sto bilionów to nie jest nieskończoność. I ta liczba wciąż maleje. Pomyśl: dwadzieścia tysięcy lat temu rodzaj ludzki po raz pierwszy uporzył się z problemem wykorzystywania energii gwiazd. A w niewiele stuleci później stały się praktycznie możliwe podróże międzygwiazdowe. Ludzium trzeba było miliona lat na wypełnienie jednego małego świata, a potem wystarczyło im tylko piętnaście tysięcy lat na wypełnienie reszty Galaktyki. Teraz ludność podwaja się co dziesięć lat! VJ-23X przerwał mu: - To dzięki nieśmiertelności. - Zgoda. Nieśmiertelność jest faktem i musimy się z nią liczyć. To prawda, że nieśmiertelność ma i drugie oblicze. Galaktyczny AC rozwiązał wiele naszych problemów, ale trzeba przyznać, że przy rozwiązywaniu problemu nieśmiertelności zapomniał o swoich poprzednich rozwiązaniach... - Ale mimo to, jak sądzę, nie miałbyś ochoty pożegnać się z życiem? - No wiesz? - zachnął się MQ-17J, natychmiast łagodniejąc. - Jasne, że nie. Stanowięco nie osiągnąłem jeszcze odpowiedniego wieku. Ile masz lat? - Dwadzieścia dwadzieścia trzy. A ty? - Ja nie mam jeszcze dwóch setek. Ale wracając do rzeczy - populacja podwaja się regularnie co dziesięć lat. Nasza Galaktyka jest już przepelniona, następną będziemy mieli zapełnioną w ciągu następnych dziesięciu lat. Jeszcze dziesięć lat i jeszcze dwie galaktyki więcej. Następna dekada - i czterdzieście dalsze. W ciągu tysiąca lat mamy milion zaludnionych galaktyk, a w ciągu dziesięciu tysięcy lat - całą Metagalaktykę. I co wtedy? - Jeśli już przy tym jesteśmy, to istnieje tu jeszcze problem transportu. Ciekaw jestem, jak wiele energii trzeba zużyć na przeniesienie istot z jednej galaktyki na drugą? - Bardzo słuszną uwagę! Już obecnie ludzkość zużywa dwie jednostki słoneczne na rok. Większość z tego jest tracona. Poza tym nasza Galaktyka zupełnie bezużytecznie wyrzuca w Kosmos tysiąc jednostek słonecznych rocznie. A my zużywamy tylko dwie z nich. - W porządku, ale nawet przy stu-procentowej wydajności byłbyśmy w stanie tylko odroczyć nasz koniec. Nasze wymagania energetyczne rosną w postępie geometrycznym - nawet szybciej niż zaludnienie. Energii zabrakłoby nam szybciej niż miejsca w Galaktyce. To była słuszną uwagę. Bardzo słuszną... - Wobec tego będziemy musieli budować nowe gwiazdy z gazu międzygwiazdowego... - Może jeszcze z rozproszonego ciepła? - rzucił ironicznie MQ-17J. - A jeśli rzeczywiście istnieje jakiś sposób na zawrócenie entropii? Powinnyśmy o to spytać Galaktycznego AC. VJ-23X nie powiedział tego zupełnie poważnie, ale MQ-17J dobił już z kieszeni swój łącznik AC i położył go przed sobą na stole. - Ja też mam na to ochotę - powiedział. - Ostatecznie to jest problem, przed którym tak czy inaczej stanie kiedyś ludzkość... Przez chwilę przyglądał się malej, sześciennemu kasetce. Nie było w niej nic szczególnego poza tym, że przez hiperprzestrzeń połączoną została z wielkim Galaktycznym AC, będącym na usługach całej ludzkości. Jak uważano, nawet sama hiperprzestrzeń stanowiła integralną część Galaktycznego AC. MQ-17J zastanawiał się chwilę, czy w jego nieśmiertelnym życiu uda mu się kiedykolwiek ujrzeć Galaktycznego AC. Znajdował się pono na swojej własnej planecie spowitej pajęczyną wiązek pola silowego, utrzymujących w swym wnętrzu materię. Stamtąd braly swój początek fale submionowe, które zastąpiły teraz zawory molekularne. I mimo tak subtelnej pracy Galaktyczny AC - jak mówiono - mierzył sobie pełnych tysięcy stóp średnicy. MQ-17J, nagle zdecydowany, rzucił w mikrofon kasety pytanie: - Czy można będzie kiedykolwiek zawrócić bieg entropii? VJ-23X spojrział na niego zaskoczony i powiedział: - Nie sądziałem, że naprawdę o to zapytasz. - Dlaczego nie? - Obaj wiemy, że entropia nie może maleć. Nie sposób zamienić dymu i popiołu na powrót w drzewo. - Masz na swoim świecie drzewa? - odparł MQ-17J. - Przerwał im Galaktyczny AC. Z malej kasetki na biurku dobił się piękny, delikatny głos: - BRAK DANYCH WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI. - Widzisz? - powiedział VJ-23X. - Po czym obaj mężczyźni powrócili do swego raportu, który mieli przygotować dla Rady Galaktycznej. Umysł Zee Pierwszego kontemplował nową galaktykę bez szczególnego zainteresowania dla niezliczonych gwiazdnych spiral, które ją stworzyły. Nic przedtem jej nie widział. Zresztą, czy kiedykolwiek mógłby je wszystkie

obejrzeć? Tyle ich przecież, każda z własnym brzemieniem ludzkości - i to brzemieniem, które zawsze było zbędnym balastem. Coraz częściej prawdziwą esencję człowieczeństwa można było znaleźć tu, w przestrzeni międzygwiazdowej. I to umysły! Nie ciała! Nieśmiertelne ciała pozostawały hen, na planetach, zawieszane ponad wiekami. Czasem zrywały się jeszcze do jakiejś materialnej działalności, ale zdarzało się to coraz rzadziej. Wprawdzie kilka nowych istot podjęło materialną egzystencję, przylączając się w ten sposób do tego nieprawdopodobnego tłumy, ale jakież to mogło mieć teraz znaczenie? Tak czy inaczej, we Wszechświecie brakowało już miejsca dla nowych istot... Z zadumy wytracilo Zee Pierwszego zgłoszenie innego umysłu, które nade-

perprzestrzeń, do owego nie znanego punktu, w którym znajdował się Metagalaktyczny AC. Zee Pierwszy wiedział tylko o jednym człowieku, którego myślom udało się przeniknąć na rozsądną odległość od Metagalaktycznego AC. Tamten opowiadał potem o trudnym do dostrzeżenia, jaśniejącym globie o średnicy jakichś dwóch stóp... - Jak może się tam pomieścić cały Metagalaktyczny AC? - zapytał wtedy Zee Pierwszy. - Większa jego część - brzmiała odpowiedź - znajduje się w hiperprzestrzeni. Trudno mi sobie jednak wyobrazić, jak to wygląda... Nikt nie mógłby sobie tego wyobrazić. Zee Pierwszy bowiem dobrze wiedział, iż nikt nie pamięta już dnia, kiedy to jakikolwiek człowiek miał jakikolwiek wkład w budowę Metagal-

go pyłu galaktyk... Nie chciał jej nigdy więcej widzieć. - Stało się coś? - zapytał Dee Su Wun. - Tak. Gwiazdy umierają. Nasza pierwotna gwiazda jest już martwa. - Wszystkie muszą umrzeć. Nie może być inaczej. - Ale kiedy wyczerpie się cała energia, nasze ciała również ostatecznie umrą, a wraz z nimi ty i ja. - Na to trzeba będzie jeszcze poczekać biliony lat. - Nie chce, żeby tak się stało nawet za biliony lat. Metagalaktyczny AC! Jak można powstrzymać gwiazdy przed umieraniem? - Pytasz, jak można zawrócić wzrost entropii... - powiedział z rozbawieniem Dee Sub Wun. BRAK JEST JESZCZE DANYCH WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA

wanie - dzięki potwornym siłom, jakie się przy tym wyzwalały - nowych gwiazd. Ale w taki sposób można było stworzyć tylko jedną nową gwiazdę z każdego tysiąca zniszczonych białych karłów - a i tę oczekiwano śmierci. - Przy ostrożnym gospodarowaniu - powiedział Człowiek - i trzymaniu się wskazówek Kosmicznego AC, nawet ta energia, jaka została jeszcze we Wszechświecie, może wystarczyć na biliony lat. - Ale nawet i wtedy - rozważał dalej Człowiek - ostatecznie wszystko dobiegnie końca. Nie pomoże gospodarowanie ani oszczędzanie, energia raz rozproszona jest stracona i nie sposób jej odzyskać. Entropia musi wzrastać do maksimum. - Ale czy bieg entropii nie może być zwrócony? - zastanowił się Człowiek. - Warto zapytać o to Kosmicznego AC. Kosmiczny AC był wszędzie wokół nich - choć nie w Kosmosie. Ani jeden jego fragment nie znajdował się już w Kosmosie. Zrobiony z czegoś, co nie było ani materia, ani energia, czuł się skryty w hiperprzestrzeni. Zagadnienie jego rozmiarów i natury nie miało znaczenia w żadnym z aspektów możliwych do pojęcia przez Człowieka. - Kosmiczny AC - odezwał się Człowiek - w jaki sposób można zawrócić bieg entropii? BRAK JEST DANYCH WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI - odparł Kosmiczny AC. - Zbierz więc dodatkowe dane - powiedział Człowiek. BĘDĘ TAK ROBIĆ. ROBIĘ TO OD STU BILIONÓW LAT. MNIE I MOICH PORZĘDNIKÓW PYTANO O WIELE RAZY, ALE WSZYSTKIE DANE, JAKIE POSIADAM, SĄ JAKĄS TĄD NIETYRZAJĄCE. - Czy mogą kiedyś być ostateczne, żeby udzielił odpowiedzi na to pytanie? Czy też jest to problem nierozwiązalny bez względu na okoliczności? NIE MA PROBLEMU NIERYZWIĄZALNEGO BEZ WZGLĘDU NA OKOLICZNOŚCI - brzmiała odpowiedź. - Kiedy więc będziesz miał dość danych, aby odpowiedzieć na to pytanie? BRAK JEST DANYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI - odparł Kosmiczny AC. - Czy będziesz dalej nad tym pracować? - zapytał Człowiek. BĘDĘ - odpowiedział Kosmiczny AC. - Poczekamy więc - odparł Człowiek. Gasły umierające gwiazdy i galaktyki - a wraz z nimi po dziesięciu trylionach lat agonii zapadała się w ezeru przestrzeń kosmiczna. Człowiek - jeden po drugim - jednoczył się z AC. Fizyczne ciała po raz drugi traciły swe umysłowe indywidualności - była to jednakże strata, która przynosiła zysk. Ostateczni z umysłów Człowieka wstrzymał się jeszcze na chwilę przed zjednoczeniem z AC i spojrział w przestrzeń, nie zawierającą już teraz nic poza resztkami jedynej, ostatecznej elementarnej gwiazdy i poza nieprawdopodobnie rozrzedzoną materią, przypadkowo miotaną resztkami ciepła, asymptotycznie zanikającego do poziomu równowagi w pobliżu zera bezwzględnej. Człowiek zapytał: - AC! Czy to już koniec? Czy tego chaosu nie da się już z powrotem obrócić we wszechświat? Czy nie daloby się tego dokonać. BRAK JEST JESZCZE DANYCH DOSTATECZNYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI - odparł AC. Ostateczni umysł Człowieka zjednoczył się z maszyną i istniał już teraz tylko AC - a i on w hiperprzestrzeni.

ISAAC ASIMOW

OSTATNIE PYTANIE

(DOKOŃCZENIE)

szo po wiotkich niciach nerwowych. - Jestem Zee Pierwszy - przedstawił się. - A ty? - Dee Sub Wun. A jak się nazywa twój galaktyka? - Nazywamy ją Galaktyka. A wy? - My też tak nazywamy swoją. Wszyscy ludzie nazywają swoje galaktyki Galaktykami. I nie więcej. A jak można inaczej? - Racja. Wszystkie galaktyki są takie same. - O nie, nie wszystkie. Na jednej, jakiejś szczególnej Galaktyce musiał wziąć swój początek rodzaj ludzki. I to ją musi wyróżniać. - Na której? - zaciekawił się Zee Pierwszy. - Nie potrafię powiedzieć. Ale będzie to pewnie wiedział Metagalaktyczny AC. - Zapytajmy go. Jakoś mnie to zainteresowało. Zee Pierwszy był w stanie wszystko to ogarnąć do czasu, dopóki galaktyki nie skurczyły się, by potem rozsypać się ponownie gwiazdnym pyłem na nieporównanie większej przestrzeni. Było ich teraz tyle bilionów, tyle setek bilionów! I wszystkie z ich nieśmiertelnymi istotami, wszystkie z brzemieniem inteligencji i umysłami, swobodnie dryfującymi w przestrzeni kosmicznej. A przecież jedna z tych galaktyk była unikalna - była pierwszą... Ona to właśnie w nieprzeznaczonych przez siebie była jedyną Galaktyką, jaką zamieszkiwał Człowiek. Zee Pierwszego trawiła ciekawość. Zannał ją uczyć tę Galaktykę. Zawołał: - Metagalaktyczny AC! Na której galaktyce wziął swój początek rodzaj ludzki? Maszyna słyszała wszystko - poprzez przestrzeń - na każdym globie. Jej receptory znajdowały się wszędzie i każdy z nich prowadził, poprzez hi-

żnego AC. Każdy Metagalaktyczny AC wybierał i konstruował swego następcę. Każdy - podczas swego milionoletniego lub nawet dłuższego istnienia - gromadził dane, konieczne do zbudowania jeszcze lepszego, bardziej skomplikowanego i uniwersalnego następcy. Takiego, dla którego zbiór danych i możliwości poprzednika były kroplą w morzu... Metagalaktyczny AC powstrzymał rozbieganie myśli Zee Pierwszego. Nie był to głos, lecz po prostu informacja. Umysł Zee Pierwszego powędrował poprzez mętne morza galaktyk i nagle jedna z nich rozsyłała się przed nim w gwiazdy. Teraz nadbiegła myśl - nieskończenie odległa, a zarazem nieskończenie klarowna: OTO PIERWOTNA GALAKTYKA CZŁOWIEKA. Ależ ona była przecież taka sama, taka sama jak każda inna! Zee Pierwszy stłumił swoje rozczarowanie. Dee Sub Wun, którego umysł cały czas towarzyszył tamtemu, powiedział nagłe: - A czy jedna z tych gwiazd jest pierwotną gwiazdą Człowieka? Metagalaktyczny AC odparł: PIERWOTNA GWIAZDA CZŁOWIEKA STAŁA SIĘ NOWA. TERAZ TO JEST BIAŁY KARZEŁ. - A więc ludzie z tego układu wyginęli? - zapytał bez zastanowienia, zaskoczony Zee Pierwszy. DLA ICH FIZYCZNYCH CIAŁ ZOSTAŁ W ODPowiednim CZASIE ZBUDOWANY, JAK TO SIĘ W TAKICH PRZYPADKACH ROBI, NOWY ŚWIAT - brzmiała odpowiedź. - Tak, oczywiście - przytaknął Zee Pierwszy. Ale uczucie zagubienia przygnębiło go jeszcze bardziej. Nieoczekiwanie jego umysł uświadomił sobie jeszcze dobitniej swoją więź z Pierwotną Galaktyką Człowieka. Nie, niechaj się zagubi z powrotem pośród tego mętne-

NIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI - brzmiała odpowiedź Metagalaktycznego AC. Myśli Zee Pierwszego pobiegły na powrót ku jego własnej Galaktyce. Nie przesłał więcej żadnej myśli Dee Sub Wunowi, którego ciało mogło oczekiwać na gdzieś w Galaktyce odległej o trylion lat świetlnych lub może już obok, na jednej z gwiazd, sąsiadujących z własną gwiazdą Zee Pierwszego. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Zmartwiony Zee Pierwszy zabrał się do zbierania międzygwiazdowego wodoru, z jakiego zbudowana była jego mała gwiazda. Jeśli gwiazdy muszą kiedyś umrzeć, to przynajmniej kilka z nich można będzie jeszcze odbudować... Człowiek rozmyślał. Dyskutował sam z sobą - bowiem pod względem umysłowym istniał już tylko jeden Człowiek. Składał się z trylionów, trylionów ciał - ciał nie posiadających wku, umieszczonych na swoich miejscach, odpoczywiających w spokoju i nie podlegających rozkładowi. Każde z nich strzeżone było przez niezawodne, idealne automaty, podczas gdy umysł wszystkich tych ciał swobodnie się sobą zewalały, niedostrzegalnie przylączając się jeden do drugiego. - Wszechświat umiera - powiedział Człowiek. Potem rozejrzał się po mglistym morzu galaktyk. Gwiazdy olbrzymy, marnotrawcy, wyczerpały się już dawno, w najzamierchlejszych z zamierzonych przeszłości Kosmosu. Teraz już prawie wszystkie gwiazdy były białymi karłami, gasnącymi z dnia na dzień w oczekiwaniu śmierci. Nowe gwiazdy powstawały teraz z pyłu międzygwiazdowego - niektóre wskutek procesów naturalnych, inne zaś budowane przez Człowieka. Możliwe było jeszcze doprowadzenie do zderzenia z sobą białych karłów i budo-

Materia i energia skończyły się - a wraz z nimi skończyła się przestrzeń i czas. Nawet AC istniał jeszcze tylko dla ostatecznego pytania - tego, na które nie umiałby znaleźć odpowiedzi do czasu, kiedy to dwóch na wpół planetych techników komputerowych dziesięć trylionów lat wcześniej zadalo to pytanie maszynie, która z AC miała jeszcze mniej wspólnego niż człowiek z człowiekiem... Na wszystkie inne pytania odpowiedziano już. Dopóki jednak nie została udzielona odpowiedź na ostateczne pytanie AC nie mógł unicestwić swojej świadomości. Zbieranie danych dobiegalo końca. Nie pozostało już nic do zbierania. Ale wszystkie te dane trzeba było jeszcze opracować i zbadać wszelkie możliwe powiązania, jakie mogły między nimi zaistnieć. Zabrało to AC cały interwał ponadczasowy. I wreszcie AC dowiedział się, jak można zawrócić bieg entropii. Nie było już jednak człowieka, któremu AC mógłby odpowiedzieć na ostateczne pytanie. Ale to było nieważne. Odpowiedź można zastąpić praktyczną demonstracją. W ciągu następnego interwału ponadczasowego AC rozważał, jak można tego najlepiej dokonać. Starannie, precyzyjnie przygotował program. Świadomość AC ogarnęła już teraz wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się we Wszechświecie i analizowała to, co było teraz Chaosem. Krok po kroku wszystko zostanie zrobione... I wreszcie AC rzekł: NIECH SIĘ STANIE ŚWIATŁO! I stało się światło...

Przełożył: KRZYSZTOF MALINOWSKI

MAGAZYN

ODGŁOSY

WŁADIMIR CZEPIGIN

ZABYTEK

Zjakin, którego dopiero co awansowano na naczelnika Brakłowski Zieleni Miejskiej, ogólnie był zadowolony z przeglądu podległych sobie terenów.

— Proszę mi powiedzieć, szanowny — zwrócił się do głównego inżyniera Chruki-
na, gdy wrócił do biura — czy mamy w naszym gospodarstwie coś szczególnie cennego, stojącego?

Chrukin zmarszczył czoło, zamyslił się.

— Raczej nie, wydaje się, że nie specjalnego nie ma. Najcenniejszą rzeczą jaką posiadamy, to park.

— Nie, niezupełnie, mnie zrozumieć. Mówię o pomniku, o jakimś unikalnym historycznym zabytku, z którego byłaby dumna nasza brakłowska społeczność. Więc powiedzcie mi: jaki zabytek posiada nasza zielona gospodarka?

— Nie ma żadnego — z zakłopotaniem odpowiedział Chrukin. — Gdzie go widać, ten zabytek? Chyba, że dąb...
— Jaki dąb?

— Ten, co to rośnie w centrum parku.

— Aaa... Przypominam już — powiedział Zjakin. — Czy są z nim związane jakieś zdarzenia historyczne?

— Niestety, nie — westchnął Chrukin. Po prostu na już dwieście lat. Według naszego rozeznania, dąb został posadzony nie później niż w tysiąc siedemset siedemdziesiątym czwartym.

— O, to już jest coś! A społeczeństwo o tym wie?
— Kiedyś tam pisali o tym w gazecie.
— I to wszystko?
— Wszystko.
— Skandal! — Wykrzyknął w gniewie Zjakin. — Proszę na jutro przygotować specjalną tabliczkę, na której winno pisać, że dąb jest zabytkiem historycznym i przedmiotem dumy brakłowskiej społeczności! Zrozumiano?

HUMOR RADZIECKI

Nazajutrz tabliczka była gotowa. Naczelnik zieleni miejskiej Zjakin osobiście zaniósł ją do parku i przybił do pnia dąbu dziesięcioma gwoździami.

— To dopiero początek, proszę to wziąć pod uwagę, Chrukin. Tabliczka — to lichoła, prymityw, pierwszy krok. Zabytek, w moim pojęciu, bezwzględnie wiąże się z czymś wielkim i brązowym. Ostatecznie z marmurem...

Następne dwa miesiące Zjakin poświęcił przygotowaniu ogromnej pamiątkowej tablicy, która winna była zmienić prymitywną deszczulkę.

Marmurową pamiątkową tablicę, wagi około centnara,

przymocowywała do pnia cała brygada. Pleń ściętego pięcioma metalowymi obrotami, na nich umocowano drewnianą podstawę, a do podstawy przysrubowano marmurową płytę z brązowymi literami.

Przez tydzień Zjakin świętował, w końcu poprosił do gabinetu głównego inżyniera.

— Słuchajcie Chrukin — powiedział. — Czy przechodziliście ostatnio obok dąbu, tak w odległości, powiedzmy, metrów trzysta, pięćset?

— Przechodziłem.

— I co, tablicę widać?

— Zdale się, że nie.

— Właśnie! — ochoczo wykrzyknął Zjakin. — Tablicy nie widać! A teraz proszę powiedzieć: po czym pozna przynajmniej, że to nie zwyczajny dąb, a osobliwość zamierzchłych czasów, zabytek historyczny?

Po dwóch dniach Zjakin przyprowadził do parku grupę drągali z pilami i siekierami. Drągale szybko ścięli dąb, pocięli pień i gałęzie na krótkie okrągłaki i tegoż jeszcze dnia, gdzie wszystko wywieźli.

A po jakimś czasie, w centrum parku, postawiono monumentalny brązowy pomnik przedstawiający dąb naturalnej wielkości.

Na gigantycznym postumencie wygrawerowano dumny napis: „W tym miejscu rósł dąb posadzony w 1774 roku!”

ZDARZENIE W garnizonie

Pułkownik — do majora:

— Jutro, punkt 9.00, odbędzie się zaćmienie słońca, znaczy się zjawisko, które nie co dzień się zdarza. Kaście zebrać skład osobowy na placu. Umundurowanie — połowe. W czasie obserwacji tego ciekawego zjawiska — wyjaśnienia będą udzielać osobiście. W razie opadów i złej widoczności skierować skład osobowy do sali gimnastycznej.

Major — do kapitana:

— Z rozkazu pana pułkownika, jutro o 9.00 odbędzie się zaćmienie słońca. W przypadku deszczu na placu w połowym umundurowaniu przewiduje się złą widoczność. Wówczas — prowadzić zaćmienie słońca w sali gimnastycznej. Takie coś nie co dzień się zdarza.

Kapitan — do porucznika:

— Z rozkazu pana pułkownika jutro o 9.00 w sali gimnastycznej ćwiczyć będziemy znikanie słońca. Umundurowanie — połowe. Czy będzie padało, czy nie — zadecyduje pan pułkownik. Takie coś nie co dzień się zdarza.

Porucznik — do sierżanta:

— Gdy jutro w sali gimnastycznej spadnie deszcz, a takie coś nie co dzień się zdarza, nasz pułkownik o 9.00 zniknie w swoim połowym mundurze.

Sługbowy:

— Żołnierze, jutro powinni zniknąć nasz pułkownik. Takie coś nie co dzień się zdarza. A szkoda!

Przełożył: E. U.



POWIEKSZENIA

WÓDKO, WÓDECKO...

Ostatnio na łamach prasy trwa dyskusja na temat wódki. Daniel Passent w „Polityce” twierdził, że „żytnia” wypiera „czystą”. Zaraz potem Jerzy Urban wytknął Passentowi, że nie jest fachowcem, ponieważ „żytnia” to także „czysta”.

Nieporozumienie tkwi zresztą tylko w klasyfikacji. Urban bowiem dzieli wódkę na „czystą” i „kolorową”. Passent natomiast za podstawę klasyfikacji przyjmuje produkt wyjściowy — żyto bądź ziemniaki.

Prawdziwie fachowy artykuł na ten pasjonujący temat napisał w „Kulturze” Ernest Skalski. Ten wytrawny łubi „jarzębiak” publicysta spenetrował tajemnice monopolowej produkcji i wygłosił apel — marzenie „Żeby ta wódka oprócz wszystkich swoich zalet była jeszcze smaczna”. No właśnie.

PLYTY

REMONT

Studia nagraniowe wytwórni płytowych są miejscami szczególnymi. Także studio „Polskich Nagrań” — choć tak całkiem, wytwórnia płytowa to one nie są — rządzi się pewnymi prawami, o których mniej zainteresowani tą tematyką nie wiedzą, a o których mniej zainteresowani tą tematyką nie wiedzą, a o których mniej zainteresowani tą tematyką nie wiedzą, a o których mniej zainteresowani tą tematyką nie wiedzą.

Prace, zmierzające w kierunku upodobnienia niewielkiego pomieszczenia do wyobrażeń, jakie wywołuje u każdego słuchacza, rozpoczęto tuż wiosną. Nie bez wpływu był tutaj fakt zakupu przez „Polskie Nagrania” nowej — rzeczywiste odpowiadającej najwyższemu standardowi światowemu — aparatury służącej do rejestracji dźwięku. Dlatego jednak wielokrotnie przedłużano termin renowacji studia — nie wiadomo, wiadomo natomiast, że szereg wykonawców miało zaplanowane właśnie w czerwcu lipcu, sierpniu swoje sesje nagraniowe.

Longplay nagrywać mieli „Trubadurzy”. „Czerwone Gitary”, kilka znanych piosenek. Krzysztof Krawczyk i chyba jeszcze ktoś. W rezultacie nikt nie uwiecznił na taśmie nawet marnego dźwięku; chyba tylko grupa „No To Co”, której zależało na tym, aby płyta z pastorałkami ukazała się przed świętami Bożego Narodzenia, nagrała utwory Jerzego Krzemińskiego z tekstami Ewy Bonackiej w partyzanckich warunkach, w stołecznej filharmonii. Zjemy zatem remontujemy, aby jak najszybciej uporali się z robotą!

A właśnie w czasie tego głębokiego zastójki wynikłego z

przyczyn technicznych, od których nasz przemysł fonograficzny jest ciągle uzależniony, wypuszczone na rynek dwie — wczesniej, rzecz jasna, nagrane — nowe duże płyty: Czesław Niemena i grupy SBB. Obie jednak nieudane; longplay Niemena razi doborzem repertuaru, który zdecydowanie świadczy o tym, iż upłynął on na swoim krąku wszystkie posiadane rezerwy bez żadnej nadrzędnej myśli przewodniej (dodajmy: cała składanka nie najwyższego lotu), gdy tymczasem Józef Skrzek, Antymos Apostolis i Jerzy Piotrowski wydali płytę powielającą pomysły z poprzedniej, z tą poprawką, że moi lidera grupy wydają jeszcze mniej kontrolowane dźwięki.

Czesław Niemena zapowiada nagranie kolejnej płyty poświęconej zmarłemu wiosną br. w białostockim szpitalu 24-letniemu perkusistom swego zespołu — Piotrowi Dziemskiemu. Może więc do tego czasu idol polskiej młodzieży także „wyremontuje” nieco swą muzykę?

K. D.

DRUGA PŁYTA FILHARMONII ŁÓDZKIEJ

Dlaczego pisać o drugiej, skromnej nie wspomnieli ni słowem o pierwszej płycie, nagranej przez Orkiestrę Państwową Filharmonii w Łodzi? Proszę się nie niepokoić, przyjdzie na to czas, tymczasem jednak zaznajomimy od płyty, która ukazała się zaraz po uroczystościach jubileuszowych Filharmonii i chociaż nie wydano jej z okazji jej sześćdziesięciolecia, dobrze do niej pasuje, skoro zawiera nagranie dzieła rzeczywiste „Jubileuszowego” — Platę Symfonii Ludwika van Beethovena (Muza SX 1164).

Płata — można by o niej bez końca. Wszak to niekwesnione walne arcydzieło światowej symfoniki, nie tylko w skali XIX stulecia, bodaj najslawniejsza symfonia świata, od stu kilku-

dziesięciu lat rozbrzmiewająca na wszystkich estradach naszego globu, dzieło genialne, o kolosalnej potędze dramatycznej wyrazu, którego każdorazowe wykonanie z magnetyczną siłą zapelnia po brzegi sale koncertowe na wszystkich kontynentach. Jest to wreszcie utwór obrosły wspaniałymi tradycjami wykonawczymi: Płata rozbrzmiewała pod najslawniejszymi dyrygentami dwóch stuleci, a nie mniejsi utrwalili swoje interpretacje na płytach. Możemy na nich dziś usłyszeć, jak odczytywali ją wielcy — W. Furtwängler i diametralnie różny odeń A. Toscanini. F. Reiner i O. Klemperer, B. Walter i G. Szell, H. von Karajan i K. Böhm i wielu, bardzo wielu innych. W Polskich Nagraniach na Płacie nie było dotąd urodzaju i dysponowały one jednym tylko, starożytnym już dziś i bardzo źle brzmiającym nagraniem, dokonanym dawno temu przez Jana Krenza. A więc zaproszono Henryka Czysa i Orkiestrę Państwową Filharmonii w Łodzi.

Jak obronią się dyrygent i zespół, jaki będzie artystyczny kształt Łódzkiej Platy w porównaniu z innymi interpretacjami, któreśmy słyszeli czy to na żywo, w sali koncertowej, czy z nagrań? Czekaliśmy na tę płytę niecierpliwie wiedząc, że musimy ją przesłuchać, choćby dlatego, że jest ona nagrana przez Orkiestrę, której zawodziliśmy wiele przyjemnych chwil, ale nie byłem przekonany, czy będę ją chciał zatrzymać w swej płytotece, w której są już przecież Platy. Smakuję bowiem w Płacie szczególnej, miłowicie w interpretacjach dość starożytnych, nawiązujących do niezrównanego w swym stylu Furtwänglera. Tesknie do Platy z wielkim epickim oddechem, z tym wstrząsającym narastaniem emocji w czasie, doprowadzonym do kulminacji takiej, że zdaje się, iż już nie więcej istnieć nie może, do Platy której powolności nabiera ją wymiaru metafizycznego, zaś finałowe allegro staje się ostatecznym triumfem człowieka nad samym sobą i światem. I dlatego nie mogłem słuchać Platę Toscaniniego, niemal nie rezygnowałem wykonania Karajana, z płyty Müllera przyjmuję tylko Andante, dlatego nie przekonała mnie Pła-

ta P. Kleckiego, nagrana przezeń dla Supraphonu... Jak będzie z Czyżem i Łódzkimi Filharmonikami? Nastawilem płytę z pewnym niepokojem i... zafascynowała mnie: przesłuchałem ją od razu trzykrotnie. Zafascynowała nie dlatego, aby interpretacja mieściła się w tej tradycji wykonawczej, która szczególnie cenię, ale dlatego, że się jej właśnie sprzeciwia i proponuje własną wizję utworu, indywidualną, a przecież urzekać. W swojej interpretacji H. Czys nie poszukiwał metafizycznych wstrząsów, nie kontemplował spraw ostatecznych, odczytał to wielkie dzieło jako wspaniały dramat, akcentując konflikty emocjonalne, nie tuszując patosu, ale i nie nadużywając go nad miarę. Nie pięścił szczegółów, bo nie o nie mu chodziło; skupił się na wyrazie całości dzieła. Płata H. Czysa i Filharmoników Łódzkich wzrusza, nie wstrząsa, przejmuję, ale nie przytłacza, w finale (co za tempo!) eksploduje triumfalną radością, nie zaś ponurym patosem. W tym wykonaniu jest to Symfonia wspaniale zwiarta, dynamiczna, do której chętnie się wraca bez obawy, że emocjonalne napięcie interpretacji uczyni dzieło tak wstrząsającym i wielkim, że... nie sposób go będzie wysłuchać do końca.

Podjąć się nagrania Platę — na to trzeba było odwagi, ale dokonać takiego nagrania — do tego potrzebna była wiele więcej. Nasi Filharmonicy stanęli na wysokości trudnego zadania, a wykonanie, utrwalone na tej płycie, przynosi im najlepsze świadectwo — tak grają tylko dobre orkiestry. Płata brzmiała świetnie, nagrano ją dużym, pełnym dźwiękiem, ze spora dynamiką, co jest zasługą reżysera nagrania A. Karuzasa i operatora dźwięku A. Diakona. Szkoda, że Polskie Nagrania nie postarały się ani o to, by na płycie i na okładce znalazła się... poprawna nazwa zespołu, który wykonał utwór oraz, że nie starczyło miejsca dla kilku słów o wykonawcach nagrania. Po dwóch udanych płytach Filharmonii Łódzkiej czekamy na trzecią.

XYZ

ROZMÓWKI

RYSOWAŁ:
ADAM
KUCZYŃSKI

CZY NIE SĄDZISZ, ŻE SKRZYWDZIŁA NAS CYWILIZACJA ?



HAM SILNĄ WOLĘ. NIGDY NIE ODMAWIAM.